



Wies

"ossolineum"

Biblioteka

"roclaw ul. Zajnochy 37"

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV

Łódź, 26 października 1947 r.

Nr 41 (120)

Zespół „Wsi”

KATEGORYCZNE ŻĄDANIE

Stoimy wobec faktu skoncentrowania w jednym ośrodku dyspozycyjnym całego szeregu chłopskich instytucji kulturalno-oświatowych. Ta nowa, nadrzędna instytucja otrzymuje nazwę: „Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych R. P.”; odda ona ma kierować całokształtem życia kulturalnego wsi.

Postępowy nurt ruchu ludowego, włączając się od dwóch przeszło lat w dyskusję nad zagadnieniem nowej organizacji kultury w Polsce, wysuwał postulat wprowadzenia na odcinku wiejskim tej samej jednolitej dla całego narodu polityki kulturalnej, bo opartej na przeobrażeniu społeczno-gospodarczym całego ustroju Polski.

Powstaje pytanie: czy postulat ten ma szansę na zrealizowanie się poprzez tę nowopowstającą instytucję? Odpowiadamy — tylko w tym wypadku, gdy nowy TUL odrzuci cały szereg tych koncepcji i mitów, które weszły, jako elementy składowe w chłopską ideologię wychowawczo-kulturalną w latach międzywojennych, a które w nowym ustroju straciły swój społeczny sens i przystosowalność, odsłaniając — co gorsza — swoją szkodliwość i w minionym okresie.

Tygodnik „Wies” od dwóch lat prowadzi szeroka akcję rewizjonistyczną przeciwko, tym właśnie nieprzysposobalnym elementom ideologii ruchu ludowego. Dzisiaj, gdy TUL stoi wobec konieczności określenia nowego programu, jest ostatni moment, aby zostały powtórzone sumarycznie zastrzeżenia, jakie wyłożyły się w wyniku podjętej przez zespół „Wsi” akcji rewizjonistycznej.

Żadamy kategorycznego odrzucenia przez TUL następujących elementów koncepcji kultury, zdaniem naszym odpowiadających od wychowania do kultury w ustroju Polski Ludowej:

1) PEDAGOGIKI PERSONALISTYCZNEJ

Opiera się ona o teorię kultury, która ma stanowić rzeczywistość samą, generis niezależną od stosunków społecznych i gospodarczych, która nie jest funkcją określonych procesów społecznych. Podmiotem tak pojętej kultury jest człowiek wyizolowany ze współczesnych mu związków i zależności społecznych, stojący jedynie w obliczu swych instynktów i na mierności, które winien uśmierzyć i oczyścić, godząc sprzeczności we własnej duszy jednostki z naturą bytu. Naczelne w tej teorii i pedagogice kultury ideały wyrażają się w hasłach: **potęgować życie wewnętrzne jednostki — rozwijać „duszę”, „osobowość”, „naturę moralną”, według „etyki indywidualnej życia osobistego”**.

Jakim warunkom i siłom społecznym mamy do zawdzięczenia smutne dziedzictwo tej personalistycznej teorii kultury, pedagogiki i w zoru osobowości?

Warunki — to postępujący w kraju w drugiej połowie w. XIX kapitalizm. Siła społeczna — to inteligencja, powstająca ze szlachty, degenerująca ekonomicznie i społecznie przez ustrój kapitalistyczny.

Uciekinierzy z dworu ziemiańskiego wytwarzają w mieście odrębne skupienia towarzyskie. Pozbawieni folwarków i władzy politycznej ratują się przed unicestwieniem społecznym w kapitalistycznym systemie przez utrzymanie instytucji życia towarzyskiego, jednej, jaka im została, „resztki” wielkopolskiej. Saloni w płaszczyźnie kontaktów towarzyskich, podtrzymuje i wzmacnia wartość „życia wewnętrznego” jednostki, jej personalnych walorów. Indeks tych walorów i treści „życia wewnętrznego” wywodzi się z po dworsko — ziemiańskiego trybu życia i jawi się utrwalony w jednorodnym, zamkniętym środowisku towarzyskim inteligentnego getta w mieście.

Czym wytłumaczyć upowszechnienie się tego wzoru wychowawczego w społeczeństwie? W latach 1880—90 (w Kongresówce) polskie ziemiaństwo i mieszczaństwo przegrywa próbę włączenia się w europejski kapitalizm przemysłowy i finansowy. Pojęcie kluczowe opanowuje kapitał zagraniczny. Następuje mocne zepchnięcie polskich sił posiadających. I one podlegają wstrząsowi degradacji. Kraj stacza się do roli „półkolonii” zachodnich ośrodków kapitalizmu. W Galicji od połowy w. XIX nie rozwija się przemysł, ziemiaństwo nie podnosi pozycji, jaka w industrializmie zdobyło w pierwszej połowie stulecia. Wzrost przemysłu na przełomie XIX i XX w. jest już dziełem obcych sił.

Inteligencja pozemiańska, skazana zgóry na gettość i uwiąd, w takich warunkach

znajduje szansę na przetrwanie, co więcej na nową misję narodową.

Wszak „zepchnięcie z pozycji” obejmuje teraz polskie siły posiadające. Zwęzła się baza społeczna dobrobytu i jego gwarancji. Perspektywa „skurczenia się stopy życiowej” i skurczenia się ambicji z ekonomicznych podbojów i zysków dla klas posiadających, dla drobniemierstwa i wsi rysuje się jako dramat nieuchronnie postępującej pauperyzacji i proletaryzacji.

Oto „widmo przyszłości”, któremu klasa górująca i posiadająca nie śmie już rzucić rękawicy. Degradacja wszystkich klas narodu w systemie kapitalistycznym. Inteligencja w lot odczuwa tę nową jednorodną sytuację narodu, tę wspólną wegetację ekonomiczną na różnych piętach klasowych. Jest to już stan półkolonii, getta narodowego. Inteligencja dlatego może wyjść ze swego getta i upowszechniać teorię kultury, na którą skazała ją własna degradacja w kapitalizmie. Na tym polega jej misja i ekspansja. Inteligencja idzie do ludu i w proletariatu. Przykładem: droga Witkiewicza i droga Abramowskiego.

Witkiewicz, właśnie, że degradowany w świecie kapitalistycznym szlachcie konsekwentnie, to co się z tym światem wiąże, 1) zagadnienie dobrobytu materialnego i 2) walki klasowej, — usuwa z pola widzenia — pozostaje mu utrząść w ludzie „duszę człowieka”, taką samą, jak w innych klasach. Pozostaje mu uczyć, że najważniejszą rzeczą jest hodować i rozwijać „życie wewnętrzne” jednostki. „Jednym z pewników, których uczy historia, — jest, że rozstrzygającym czynnikiem życia zbiorowego nie są formy urządzeń, instytucje, tylko jest stan duszy danego społeczeństwa”. Znacząco to społecznie i politycznie: dusza człowieka z ludu (wspaniała, a jakże, równa pańskiej) objawiać się może i powinna nadal w niezmiennych formach urządzeń, w niezmiennych pozycji upośledzenia społecznego.

Abramowski sprowadza proletariatu z drogi rewolucyjnej. Rozsnuwa przed nim perspektywę socjalizmu utopijnego: społeczeństwa bezpaństwowego tj. takiego, w którym nie ma żadnego przymusu społecznego, w którym człowiek kieruje się wyłącznie „własną naturą moralną”, która określa „dziedzina sumienia” i „etyki indywidualnej”. Do takiego życia społecznego wiedzie wg. Abramowskiego jedna droga: uwalniania się przez każdą jednostkę od uczestnictwa w związkach społecznych na rzecz powrotu do „natury moralnej”, do „życia wewnętrznego”, którego ideały nie będą wymuszone na jednostce nawet „naciśnięciem opinii publicznej, nawet sugestii osobistej”, a „zjawiać się jako takie w duszy ludzkiej”.

Pozornie ratowanie tego, „co stanowi prawdziwego człowieka” przez zamykanie go „w dziedzinnie sumienia, etyki indywidualnej, życia osobistego” prowadziło do, po 1) rozbrojenia proletariatu ze świadomości klasowej, po 2) do wepchnięcia robotnika w ostatnią konsekwencję uciśku kapitalistycznego — anarchizm liberalny.

Wiek XIX zaczynający się zwycięstwem burżuazji stawia jako ideał nowej epoki: „wolność człowieka, odizolowanego i zamkniętego w sobie”, „prawo jednostki, ograniczonej do niej samej”. Ta wolność i to prawo służyły pomyślnie tylko ludziom klas posiadających, ten sam wzór osobowy utrwalany w ludzkie i społeczeństwo pod koniec w. XIX-go, w szczególności u nas, w kraju, dawać musiał wręcz odrośnięty skutek. Nie dopuszczał do powstania społecznej siły uciemiężonych klas, utrwał w nich zapóźnienie cywilizacyjne, nędzę, ciemnotę, wszystko, co potęgowało proces proletaryzacji, a czego przezwyciężenie wymaga społecznego współdziałania i organizacji.

Kapitalizm dezorganizował dawne formy społecznego zbiorowego życia i dezorganizację życia społecznego utrwał. Inteligencja „ludomanińska” i chrześcijańska — socjalistyczna była i produktem tej dezorganizacji i z kolei siewcą jej zasad w masach ludowych i robotniczych. Taką funkcję pełnił jej „wychowanie personalistyczne”. Trzeba przypomnieć — było jedno właściwie wyjście z getta inteligentkiego: przeciwko masowej dezorganizacji społeczeństwa zagrażającego wolności mas, budowanie masowej organizacji obrony. Po tej drodze poszedł rewolucyjny ruch proletariacki z Waryńskim, po tej ruch intelektualny, którego symbolem jest L. Krzywicki.

„Istota ludzka nie jest żadną abstrakcją, tkwiącą w poszczególnie jednostce. Jest w

swojej rzeczywistości całokształtem stosunków społecznych”.

W nowej Polsce z całą stanowczością musimy odrzucić **pedagogikę personalistyczną** (w rozmaitych jej postaciach). Nie mogła ona służyć ani organizowaniu się mas ludowych do walki o swoją społeczną i jednostkową wolność ani nie może służyć dziś organizowaniu się mas ludowych do realizacji sprawiedliwego ustroju i społecznej wolności każdej jednostki.

Nie możemy stawiać przed młodzieżą „idealnego wzoru osobowości do naśladowania”. Równałoby się to wyłączeniu jej ze współczesnej historii Polski i świata, z całokształtu stosunków społecznych. Równałoby się hodowaniu jej poza ustrojem i przeciw ustrojowi.

Nie jednostka zapatrzona w swoją jaźń, w swoje wewnętrzne życie, w swoją niedoskonałą naturę moralną, słowem — nie jednostka odizolowana i osamotniona społecznie ale w ruchu społecznym, organizacji, instytucji taka jednostka jest dla nas wzorem nowego człowieka. Traktujemy związki młodzieży (jak „Wici”) traktujemy szkoły (jak w PRW, szkoły rolnicze czy zawodowe) świetlice, spółdzielnie, **jako narzędzia wychowania i równocześnie jako realnej siły społecznej w przebudowie narodu**.

2) MIT CHŁPSKIEJ ODRĘBNOŚCI

Mit ten opiera się na pojęciu biologiczno-masowej odrębności warstwy chłopskiej i zde-terminowanej przez tę odrębność swojej struktury duchowej chłopca.

Mają ta „biologia i dusza chłopska być niezmiennie, stanowić „istotę” chłopca, chłopskość i treść dzieł wsi. Historia z tego punktu widzenia jest tylko okazją dla „objawienia się” chłopskości, wiecznej tej samej acz pod postacią każdorazowo innych form. Rozumieć dzieje chłopów — znaczyłoby w potoku przemian społecznych odnajdywać niezmienny garnitur cech, składających się na treść „chłopskości”.

Uczestniczyć w historii, tzn. kierować się „plemiennym instynktem w ocenie niewzruszonego”.

Ten mit biologiczny, a z kolei duchowy odmiennosci chłopca wyprowadza z jego „związku z ziemią”, z wiecznej tej samej zależności od „laski żywiołów”. Opiera się o naturalistyczną koncepcję kultury, która rozwija się na podobieństwo organizmu, rodzi się, wzrasta do stanu dojrzałości, zamiera. Tworzyć historię tzn. przedłużać owe wcześniejsze stadia kultury, — organizmu, w których natura i dusza człowieka są jeszcze świeże i nieskażone. W hasle praktycznym równa się to — nie wchodzić w cywilizację industrialną, zachować warunki pierwotniejsze, naśladować i odnawiać dawne wzory życia społecznego, plemienne, słowiańskie.

Znów pytamy — jakim warunkom i siłom społecznym mamy do zawdzięczenia dziedzictwo wiary w odrębny **gatunek człowieka** — chłopca?

Temu samemu procesowi degradacji inteligencji, przez kapitalizm. Kiedy pod koniec w. XIX inteligencja wznowia kontakt z ludem, czyni to w ucieczce od centrów uciśku kapitalistycznego, od centrów tajemniczej w jej oczach kapitalistycznej organizacji i systemu produkcji. Wies wydaje się jej oazą życia wolnego od narastających komplikacji ustrojowych, gospodarczych i technicznych. Było to złudzeniem. Złudzeniem, że wchodzi w świat pierwotności, w którym nie ma niczego prócz przyrody i człowieka. To wyobrażenie nie inteligencja sobie narzuciła. Od praktyki kapitalizmu pożerającego coraz gwałtowniej w ustroju liberalnym dochód społeczny uciekała się do utopii liberalizmu, dokonała „powrotu do natury”. Ale i tu widzi już naturę zagrożoną, Witkiewicz pisze: „Jak wyępiono do korzenia złoźnika, tak samo zgłębmy myśliwiec, ten najmniejszy i najciekawszy typ górala”.

Raunkiem dla ludzkości, dla kraju to przeciwstawić niszczącej sile cywilizacji niszczące siły pierwotności. Oto ocalenie! Zaczyna się propaganda pierwotności. Popławski głosi, że „lud posiada własną religię, własną moralność, własną politykę, więcej — własną naukę, słowem kulturę własną, której czynniki składowe nie mogą być uważane jako niższe formy rozwoju odpowiednich kategorii kultury naszej”.

„Lud — mówi Witkiewicz — pójdzie jednak swoją drogą, którą mu wskazują... sto-

pień i rodzaj kultury, którą lud już posiada, spłót pewnych pojęć i pewnej obyczajowości, która ma swoją odrębność”.

A tymczasem ten obraz odrębnej „ludowej kultury”, nie wyrażał nic innego, jak zapóźnienie kulturalne wsi, relikty z okresu pańszczyzny, wyrażał niższość i zadawnienie na jakie skazywał wieś ustrój nierówności klasowych. Ale, nawet w naszym krajowym niedorozwoju kapitalizmu, relikty te musiały z czasem coraz bardziej niknąć, przekształcając nędzę chłopskiej kultury pańszczyżnianej na nędzę kultury drobno-kapitalistycznego posiadacza i drobno-kapitalistycznej produkcji rolnej.

Schodząc w tym przełomowym momencie do ludu inteligencja w rzeczywistości żyła w nową sytuację kraju, w sytuację półkolonii. Staje twarzą do tubylców, do utrwalonego ghetta chłopskiego, do ziemi, ostaniej i jedynej wartości w dzikich krajach. Tak „widmo przyszłości” kreuje na cel przyszłości. Bo tubylcy — chłopci gniotli się, jak w Galicji, już w 86 proc. na gospodarstwach do 2 — 3 ha, z tego 42 proc. gospodarstw zajmuje 6 proc. powierzchni kraju. Zahamowany rozwój przemysłu i racjonalnej kultury rolnej spiera proces proletaryzacji jawny i ukryty ludności wiejskiej. Właśnie w latach 1890 — 1910 — kiedy prorocy „powrotu do natury” i pochwały (remanentów) „kultury ludowej” najgłośniej przemawiają, emigracja za ocean przybiera znaną katastroficzną ucieczkę chłopów od ziemi i swojskości — „dla chleba, panie dla chleba”. Ale na to ludomani, mają jedną tylko odpowiedź: „Góralu, czy ci nie żal? Góralu wracaj do hall”.

Ludomani rozłożyli wizję półkolonii, jako **rzeczywistość idealną**. Ich obronna reakcja na ucisk rosnącego kapitalizmu światowego była zmyślna i mało że bezskuteczna, podporządkowana żelaznym prawom kapitalistycznej dezorganizacji i dezorientacji społeczeństwa.

Ludomani, zaczynając od własnej terapii duchowej, jaka dawała im ucieczka do natury, przechodzili w rezultacie w rolę organizatorów utrwalania niewoli ludu. Nie „formy urządzeń” — a dno duszy! Nie ujarzmienie przyrody — a powrót do niej, organiczne wrośnięcie! „Nie przez kształcenie pojęć osiąga się rozwój społeczny — lecz przez kształcenie uczuć”. Precz od przemysłu, precz od klasowych walk! Wszak warstwa chłopska, w najędźwiejszym popadająca los — staje się w oczach ludomanów — „rajem utracionym”.

Inteligencja buduje nową koncepcję narodu... półkolonii. Trzeba się oprzeć o kulturę historyczną, na „poczuciu łączności między przeszłością narodu a jego współczesnym życiem” — jak pisał Popławski. Co jest wrogiem tej kultury historycznej? Wiek XIX — „demokratyzacja urządzeń politycznych i stosunków społecznych, niezwykle szybki rozwój przemysłu, handlu, środków komunikacyjnych... pojęcie racjonalistyczne”. Co mamy robić?

„Coraz dalej, coraz głębiej w przeszłość iść nam trzeba, aż do najdalszych podwalin sięgnąć do podśaw życia narodowego dotrzeć, gdzie już milnie świadomość, a odzyska się głos krwi, przyrodzony instynkt rodowy, ten nas nie zawiedzie”. W tym szaleństwie była przecież metoda. Inteligencja kuła **kolonialną definicję narodu**, jako woli zbiorowej, powstałej z **instynktów wszystkich pokoleń narodu** — w dwóch celach: 1) Instynkty wyrażające wolę narodu polskiego w jego historii; należały do klasy szlacheckiej, posiadającej i inteligentkiej. Wszystkie instynkty innych środowisk i klas winny być zatem nadal posłuszne tamtym.

2) Wzmacnianie siły narodową, przy zachowaniu nierówności klasowych, użyć jej dla obrony kraju przed zaborcami, aż do jego woli zwolenia, aby w ten sposób w nadal pozostającej strukturze kolonii kapitalistycznej uzyskać uznaną przez społeczeństwo pozycję panującą (z drugiej ręki). W narodowej kolonii narodowi władcy. Roman Dmowski śle dził z uznaniem imperializm angielski i pruski. Zmobilizowany naród na zasadzie plemiennych związków krwi miał wejść w grę wojenną kapitalistycznych imperiów. Przy próbach nowego podziału świata można było w roli wasala liczyć na rozszerzenie „narodowej kolonii” o zabór nowej kolonii. Można było w ten sposób jeszcze bardziej usunąć z pola widzialność nierówności klasowych, tym silniej je utrwalając.

W la'ach międzywojennych pojętni uczniowie chłopcy — Orkan, Bujak, Pigoń, Niecko, Miłkowski, od starszej do najmłodszej generacji przedłużają ideologię „ludomanów” wśród zorganizowanych zastępów młodzieży wiejskiej.

Cywilizacyjnie — zahamowanie i uwsteczniczenie — „urbanizacja oznacza zgrzybiałość społeczeństwa” (Bujak), „wynalazki i cuda techniki to już przedśmierne intensywne wyżywanie się Zachodu” (Niecko).

Politycznie — mistyczny słowiański imperializm — „Przyjść muszą nowe ludy, nowi Ariołowie z nowym słowem i na tym cmentarzu rozpocząć nowe dzieło tworzenia” (Niecko).

Gospodarczo — odwrót do fazy wczesno-liberalnej organizacji produkcji. Wyrażał to program agraryzmu. „Czerpie on swe prawa i zasady z ziemi, ze współzycia człowieka z przyrodą i produkcji drobno - rolnej”. — „Ideologia agraryzmu musi być ideologia całej Polski” (Miłkowski).

Kulturalnie — konserwatyzm ludowy. „Otoż w tych srogich terminach trzeba organizować obronę rodzimości życia wiejskiego w jego pradawnych formach” (Pigoń).

3) „MIT” STANU CHŁOPSKIEGO

Mit ten wyrasta z poprzedniego: kołacje się w nim przekonanie, że rozwój warstwy chłopskiej powinien odbywać się przy zachowaniu jej politycznej, społecznej i gospodarczej odrębności, niezależnie od ustroju, jaki będzie miała Polska.

Znów postawmy pytanie — jakie warunki i siły społeczne utrwalają tę tradycję?

Warunki — to przejście wsi po pańszczyźnianie w strukturę kapitalistycznej produkcji i jej podziału klasowego. Jako możliwość przed wsią stało zajęcie pozycji drobno - kapitalistycznych posiadaczy parceli. Jako rzeczywistość od pierwszych dziesięcioleci XIX w. — wyzucie z tej szansy prawie połowy wsi. Kapitalizm na wsi organizował ziemianstwo i ono przez rugę pańszczyźnianych chłopów zawarowało sobie ziemię pod nowoczesne folwarki. W r. 1810 bezrolnych w Księstwie Warszawskim jest 62 proc. Dzieje wsi pańszczyźnianej to historia zdobywania przez całą warstwę chłopską pozycji drobno-kapitalistycznych posiadaczy. Aby jednak „mit parceli” mógł się urzeczywistnić dla wszystkich chłopów spełnione musiałyby zostać dwa warunki: 1) rewolucja burżuazyjna (taka jak we Francji), która by zniósła folwark ziemianstwa; 2) rozwój przemysłu, któryby wchłonił nadmiar ludności wiejskiej (w latach 1860 — 1900 — przyrost dwukrotny). Żaden z warunków nie został spełniony.

Pod koniec XIX w. proces kapitalistycznego rozwarstwienia społecznego i ekonomicznego na wsi przybrał już zaskarżające rozmiary. Na przykładzie Galicji — 4 proc. wielko - rolnych chłopów, 86 proc. rodzin do 2,3 ha, w ciągu 10 lat odpływ za ocean miliona chłopów.

Nauki i zachwyt „ludomanów” nad rasą i duszą chłopską, nad „kulturą ludową” wykorzystuje bogatsza część chłopstwa. Stają się one dla niej narzędziem utrzymania jedności społeczno - kulturalnej wsi, która każe w konsekwencji uznać biedocie nierówności społeczne i ekonomiczne i „włosciańskie” tylko utrwalanie się w ustroju kapitalistycznym na pomyślniej pozycji drobnych posiadaczy. Plebania gra rolę analogiczną. Podtrzymuje wies w wspólnotę grupy religijnej. Napiecia klasowe i dramat ekonomiczny wsi zostają w ten sposób ukryte. Próby ich ujawnienia się zwalczą tradycja kultury i religii.

Parlament austriacki otwiera przed bogatym chłopstwem drogę politycznego utrwalenia i rozszerzenia pozycji drobnych posiadaczy. Korzyści z minimalnego postępu (wzrost szkół ludowych, szkoły rolnicze, stowarzyszenia: Kółka Rolnicze, spółki, kasy pożyczkowe, sanatoria, sejmiki, stronnictwa, sejm) przynoszą korzyści realne przede wszystkim jemu.

W pierwszej fazie chłopskiego ruchu politycznego solidarność kapitalistyczna zamyka się jeszcze w granicach wsi. Formułowana jest politycznie i ekonomicznie: „z szlachetą polską polską lud”, „mali i wielcy rolnicy łączcie się”. Na tej solidarności wygrać mógł tylko „włoscianin”, reszta wsi była nią tym bardziej popychana ku spolegliwemu.

W pierwszych latach II-giej Rplitej zaczęła się sojusz bogatych chłopów z drobno - mieszczaństwem przy cichym pakcie z ziemianstwem, na naturalną parcelację majątków, co oznaczało wykupienie ziemi przez „włoscianin”.

Ale poruszone idea Reformy Rolnej biedne chłopstwo idzie już dalej. Gotowe jest na nie, spełnioną w XVIII i XIX w. „rewolucję burżuazyjną”. Zgodą na samą zasadę ustroju kapitalistycznego, ale wojna z ziemianstwem! Chłopski uczniowie ludomanów, utopie tę podtrzymują. W konkurencji do ziemi starły się interesy bogatych i biednych chłopów. W każdym bądź razie koncepcje Miłkowskiego prowadziły tylko do rozszerzenia bazy społecznej drobno - kapitalistycznego posiadania chłopów.

Zapoczątkowana więc przez „włoscianin” z końca w XIX idea klasy drobnych kapitalistów wiejskich utrzymała się aż do drugiej wojny światowej, a nawet przedłużyła na dziś w programie P. S. L. u.

Jakie leżą założenia u podstaw tej idei? Ekonomiczne — kapitalistyczna organizacja produkcji polityczna — ustrój liberalny. Jakże to miejsca dla bogatych chłopów? ekonomicznie — trwanie na szczytach drobno-kapitalistycznego posiadania z konsekwencjami: ubożenia i proletaryzacji reszty wsi, bezrobocia i wyzysku robotników. Politycznie — ustanawianie gry sił społecznych, w której „włoscianin” broni interesów wiecznego jakby stanu rolników, przy uznaniu innych klas jako „wiecznych” również stanów.

Dażności biedniejszej wsi, reprezentowane

przez grupę „Młodej Myśli Ludowej” i „Chłopskiego Życia Gospodarczego” były reformistyczne i ekspansyjne. Ten obóz chciał 1) odebrać ziemianstwu folwarki dla rozszerzenia stanu posiadania chłopskiego, 2) uznawał w zasadzie uspołecznienie przemysłu i banków, ale 3) chciał strukturę ekonomiczną rozwiniętego kapitalizmu przekształcić na jego strukturę z fazy drobno - produkcyjnej i to zarówno w produkcji rolnej, jak przemysłu. Dlatego 4) agraryzm miał być ideą całej Polski, „włosciańska” enklawa stanu chłopskiego miała się rozszerzyć na całą Polskę i nadać jej swój model gospodarczy, społeczny i kulturalny. 5) politycznie — utrzymać stan gry sił społecznych, tzn. zachowania i ścierania się interesów klasowych z przewidywanym jednolitym państwem politycznym chłopów nad resztą społeczeństwa i nad klasą robotniczą, której znaczenie obliczano na 10 proc., proporcjonalnie do jej liczebności. 6) ustrojowo — mimo rewolucyjnego zamachu — miała to być demokracja liberalna, związana i oparta o demokrację zachodnią, a odcięta od Związku Radzieckiego i współpracy z komunistami.

Z pozoru więc program ten zakładał zniesienie ustroju kapitalistycznego. Ale odebrała własności ziemskiej, przemysłowej i banków miało się odbyć przy zachowanym ustroju liberalnym, przy istnieniu nadal interesów klasowych, przy sojuszu z demokracją zachodnią. Zadanie niewykonalne i bez szans do utrwalenia.

Program podtrzymywał w rezultacie ustrój kapitalistyczny — liberalny, dlatego wbrew deklamowanej solidarności z klasą robotniczą mierzył w nią i paraliżował jej konsekwentną, rewolucyjną walkę z kapitalizmem. Idea powrotu do ziemi nieufność do industrializacji i do kultury miejskiej, idea ograniczenia wzrostu przemysłu i miast na rzecz systemu powszechnej drobnej produkcji uragała prawom i produkcji kapitalistycznej i socjalistycznej. Demaskowała swą zachowawczą i utopijną za razem treść; zachowawczą, bo Polskę zamieniała w kraj drobnych posiadaczy i wytwórców, na wzór i miarę ambicji wsi pańszczyźnianej, utopijną, bo gdyby nawet przyjąć wykonalność tego planu, znaczyłoby on nie co innego jak tylko jeszcze większe pogłę-

wienie naszej zależności ekonomicznej od rozwiniętego kapitalizmu przemysłowego i finansowego na Zachodzie.

Program ten był daleki od konsekwentnej walki z kapitalizmem. Gdyby ją naprawdę zakładał, musiałby się liczyć z naturalną koniecznością wzrostu przemysłu, zatem przesuwania się wskaźnika ludności wsi z 70 proc. na 30 proc., a to znaczy z faktem potężnienia klasy robotniczej.

Ponieważ w nowym ustroju widziano ją jako klasę — stan, a nie jako producentów aktywów jednolitego świata pracy uspołecznionej Polski, dlatego w imię stanowego interesu wsi zakładano utrzymanie niezmienionego prawie stosunku liczebności obu klas. Szło właśnie o nie powiększenie klasy robotniczej, ocenianej po staremu jak w ustroju liberalnym — kapitalistycznym gdzie ma się do czynienia z konkurencją w zyskach i władzy. Dlatego, zakładając projektowane państwo chłopskie, nie dociekaliśmy się rozwiązania dramatu wsi. Miłkowski żądał bowiem „przesunięcia punktu ciężkości ku warstwie chłopskiej” a znaczyło to tyle, co „mamy nadmiar rąk robotniczych, których nie mamy gdzie produktywnie zatrudnić. Otoż musimy wybrać taką formę gospodarowania w rolnictwie, która nam gwarantowała największą produkcję brutto”. Nie mamy gdzie zatrudnić poza wsią znaczyło — nie chcemy!

W rezultacie ten program wyrażał klasową, stanową ideologię. W praktyce nie wyszedłby poza rewolucję burżuazyjną, bo dla Miłkowskiego zagadnienie miast i klasy robotniczej było w wizji jego hierarchii spraw polskich nie ważne, najważniejsze — znieść szlachetczyznę. I na jej miejscu (panującym) ustawić rasę chłopską, przeniknąć kulturę polską odwieczną „chłopskością” duchem ziemi, ożywić w narodzie instynkt plemienny, rozwinąć i upowszechnić historię minioną „kulturę ludową” itd. To dopiero widać, jakie owoce wydały nauki szlachetko - inteligentnie ludomani. Jak fałszywymi narzędziami i ideami wyposażyli słusze dążenie warstwy chłopskiej do wyzwolenia społecznego, do ekspansji kulturalnej — twórczej, do władzy politycznej, do odpowiedzialności za losy narodu.

Zespół „Wsi”

Lech Budrecki

Schillera idea teatru rzeczywistości

Nowy typ literatury dramatycznej, nowy teatr, oto czego spodziewano się jeszcze jesienią 1945 r. Powtórzyła się jednak historia z realizmem. Skończyła się na nadziejach. Z powieścią było jeszcze względnie dobrze, stawiano przynajmniej dezyderaty. Ale z teatrem? Poza dyskusją o „Elektrze” poza kilkoma artykułami o ostatniej sztuce Szaniawskiego nie było nic. Domagano się realizmu w prozie, poetopiano poetyczny liryki 20-lecia, ale scena pozostawała nadal strefą wolną, nie podlegającą atakom krytyki. Dopiero wypowiedzi Schillera przerwały owo dwuznaczne milczenie. Sytuacja stawała się bowiem z dnia na dzień coraz dziwniejsza, coraz bardziej paradoksalna. Nawet marksistowskie krytycy zaczęli entuzjastycznie „Dwu teatrami” wychwalać równocześnie „Orfeusza”. Zwracano się ku aluzyjnemu pisarstwu, traktującemu o wiecznych prawach losu. Rekwizyty greckiej tragedii mające dokumentować trwałość problemu losu, jego ponadczasowości i „teatru snu” wprowadzały recenzentów w stan ukontentowania. Nie pojął się tutaj żaden Zoli. Można więc było spodziewać się i gloryfikacji Giradoux czy Cocteau i apologetycznego powitania ekspresjonistów. „Evasion” (ucieczka od rzeczywistości) — to święcio triumf. To też głównym problemem, który postawił sobie Schiller, stała się sprawa powrotu teatru do rzeczywistości, sprawa zerwania z tradycją lat międzywojennych.

Cóż bowiem reprezentował repertuar 20-lecia. Sztuka dla mieszczańskiej elity, sztuka dla nielicznych specjalistów i snobów. Cocteau, Tzara i Apollinaire proponowali scenę dla prestyżu, scenę dla literackiego zonglera. Zostawała drwina, ujeta w schemat poetyckich mitów. Drwina skierowana nie przeciw rzeczywistości, wyrażającej nonsens kapitalistycznego układu, lecz wyceLOWANA w literacką konwencję melodramatu ubiegłego wieku. Historię o Amfitrionie i o wojnie trojańskiej, „Niebiańskie przygody pana Anteperina” obiecywali widowisk awangardowi reżyserzy. Uciekano od spraw tego świata. W Niemczech szaleli ekspresjonści, w Ameryce grano „Cesarza Jonesa”. Eksperyment, złamanie konwencji i wręcz komentarz na scenie, postać, która nie działa — opowiadać. U nas zjawisko wtórne: Witkiewicz realizuje „Tumora Mózgowicza”, a zaraz potem będzie grana historia o sentymentalnym adwokacie, który kochał różę. Finał stanowił zawsze marmotrawny syn, niepokojny ojciec i tancerka z kabaretu; nieodzowny schemat farsy. Taki oto był teatr, któremu hołdowano w latach międzywojennych, szukając poetyckiej aury, szukając mitologii i intelektualnej gry. Nonsens i drwina wielbiono bardziej niżeli dramaty Szekspira, które odsyłało się z żartobliwym uśmiechem do Grand Guignola. Tak wyglądał teatr załamującego się mieszczaństwa, tak przedstawiała się sztuka mieszczańska w okresie nasilenia kapitalizmu monopolistycznego. Rzadko kiedy chyba istniał teatr dopasowany lepiej do epoki niż wówczas. Załamywanie się dawnym form produkcji, i ustabilizowanych stosunków społecznych w klasie posiadających aż nazbyt szybko dało inną filozofię, inną moralność, inną literaturę „górnych stu tysięcy”. Trwa ona na zachodzie nadal i dziś. Kontynuują ją: Sortre, Comus, i modny na nowo Claudel. Pisarze i reżyserzy mający

służyć abstrakcyjnemu i intersubiektywnemu rzekomo wyobrażeniu piękna, służyli w rzeczywistości gustom rentierskiego mieszczaństwa w okresie jego załamywania, się ekonomicznego i rosnącej paniki.

Cóż można więc zaproponować na miejsce symbolizmu, na miejsce fałszywego poetycyzmu? Teatr służyć ludowi, teatr dla mas, teatr dla proletariatu”, odpowie Schiller. Na miejsce estetyzujących koncepcji „pięknego” „użyteczny społeczny”. Siłą rzeczy repertuar który oprócz się musi na klasykach w stopniu znacznie większym, aniżeli można było tego pragnąć. Współczesna bowiem twórczość dramatyczna w żadnym wypadku nie odpowiada wymogom stawianym nowej literaturze scenicznej. Mamy w niej wprawdzie żale nad biednym poetą, ucieczką od świata (Homer i Orfeusz) i mesjanizm („Maż doskonały”) i fałszywy poetycyzm („Ariadna”, „Orfeusz”) i uproszczone faktomontaż („Wielkanoc”, „Stary dworek”). Nie znajdzie się tu jednak sztuki, która mogła sprostać postulatowi teatralnego realizmu, ani jednej sztuki, która by kontynuowała tradycję klasyczną realizmu literatury dramatycznej. Te spośród nich, których nie obliczono świadomie na nieestetyczne upodobania właścicieli kawiarni i sklepów kolonialnych, te właśnie zgadzają się dziwnie z przekonaniem: „Orfeusz” nie jest dla robotników, „Orfeusz” jest dla byłych ziemian, a obecnie referentów po biurach, dla nauczycielskiej, „salonikowej” inteligencji.

Ci, którzy dziwią się dzisiaj postulatowi Schillera, nie dostrzegli widocznie tego społecznego uzasadnienia, które popiera prawdziwość jego tezy. Mówią: „Na Zachodzie nie ma realizmu. Dlaczego więc realizm?” Tak, na Zachodzie nie ma realizmu i długo jeszcze go nie będzie. Kryzys mieszczaństwa spowodowany dalszymi etapami rozwoju kapitalizmu monopolistycznego wywołał tam atmosferę lęku i zamroczenia. Stracono możliwość poznania świata. Rentierzy przestali ufać racjonalistycznej mądrości ojców. Zaczęli twierdzić, że świat zbliża się do cudu, że świat jest niepoznawalny.

Inaczej w Polsce. Zniesienie ustroju kapitalistycznego usuwa konieczność owego chaosu, który tak bardzo ongiś przestraszył optymistycznych wodzów pozytywizmu. Spadanie i podnoszenie się cen, drobny fakt, którego mechanizm nie mogli opanować prawie nigdy posiadacze, straciło swą magiczną zdolność zmian i wywoływanie kryzysów. To, co grozi jeszcze we Francji choćby, to co dziwiło intelektualistów, mówiących o końcu kultury i nawołujących do powrotu w prymityw straciło swoją aktualność i przechodzić będzie u nas do wspomnień, do rejestru historyka.

W szeregi inteligencji wkraczają dziś masowo już ludzie z proletariatu i wsi. I tu tkwi gwarancja nowej sztuki opartej na poznaniu rzeczywistości, bo rzeczywistość, dająca się opanować i pokierować dla zrealizowania równości społecznej i dobrobytu mas.

Dlatego to tak wielką wartość mają dezyderaty Schillera, zawarte w jego wykładzie, wygłoszonym na otwarciu nowego roku w Państwowym Wyższej Szkole Teatralnej w Łodzi, a żądające wyznaczenia nowej linii artystycznej polskiemu teatrowi.

I jeszcze jedna uczelnia

(na podstawie listu Józefa Fronia do redakcji)

Dnia 1.x br. otwarto jeszcze jedno „nowe” gimnazjum rolnicze — dwuletnie w Przygodzicach, koło Ostrowa Wielkopolskiego. Otwarcie odbyło się w obecności władz powiatowych i autonomicznych, przy udziale 28 uczniów, w tym 27 — chłopów. Chłopcy rasowi, jakby dobrani, w wieku od 18 do 28 lat, tak że miło jest z takim materiałem uczniowskim pracować.

Przygodzice, to były majątek Michała Radziwiłła Rudego, posiadający niezgłębione lasy, jeziora, rybne stawy, ale marne gleby, których też przydzielono gimnazjum — 80 ha.

Takie gimnazja otwieramy rok rocznie. Rolnie ich liczba. Cieszymy się, że mamy znacznie więcej szkół rolniczych niż przed wojną. Niech nas jednak nie ludzi statystyka. Takich gimnazjum jakie otwarto w Przygodzicach jest w kraju już sporo. Stanowią one pozycję, jedynie w statystyce. W organizowaniu kultury na wsi, większej roli grać nie mogą. Dlaczego?

Oto fakty: na terenach szkolnych jest szereg budynków, są nawet piętrowe, ale zapełnione lokatorami, ze szkolnictwem nie wspólnego nie mającymi. Dla nauczycieli miejsca nie ma, prócz jednego, jednego którego umieszczono w dwóch ciasnych kłitkach na poddaszu. Dla dalszych — pomieszczenia brak. Dyrektor gimnazjum usiłował drogą sądową oczyścić budynki szkolne, niestety bez rezultatu. Wskutek tego młodzież cisnie się w piętrowych kłózkach na ciemnych poddaszach, musi się myć w piwnicach, donosząc tam wodę w wiadrach.

Okazuje się, że niedość wyszukać miejsce dla szkoły dać jej ziemię i mianować kierownika. Nawet największe pałace były obliczone na potrzeby jednej rodziny, podczas gdy szkoła w jednej klasie mieści kilka razy więcej uczniów niż najliczniejsza rodzina. Zatem każdy pałac wymaga kosztownych przeróbek, a gdy dodamy, że otrzymuje się go w stanie zazwyczaj bez klamek, kluczy, ze zrujnowaną instalacją elektryczną i kanalizacyjną to musimy przyznać, że przyznawane kilkunastotysięczne kredyty, jak to w wypadku Przegrodzic miało miejsce — są „kropłą w morzu”.

Dwa lata nauki to zbyt mało — jak na gimnazjum rolnicze i nie pomoże tu ani najlepiej obmyślany program, ani najlepszy nauczyciel. Programu dwuletniego, prawdziwie mówiąc — nie znam, bo taki nie istnieje, otwiera się natomiast dwuletnie gimnazja. Ma je obsługiwać program przewidziany na trzy lata. Nie jest to dobrze, jeżeli zważy się na jeszcze jedno.

Najlepiej nauczyciel ma nielada orzech do zgryzienia przy naukach pomocniczych, jak — w fizyce, chemii, zoologii, botanice, miernictwie, czy meteorologii — bez odpowiednich przyrządów do demonstracji. Np. na 34 uczniów całej klasy nikt nie widział barometru i wstyd doprawdy pisać, że i kierownik w pewnym gimnazjum rolniczym brał aneroïd za barometr. Utrzymywać, że „na bezrybiu i rak ryba” można ostatecznie w konsumpcji, ale w nauczaniu, już chyba nie.

Zaopatrzenie szkół rolniczych w środki do nauk teoretycznych jest więc niedostateczne. Podobnie brak jest narzędzi do prac praktycznych. Gimnazjum rolnicze powinno rozporządzać co najmniej tyłu łopatami, motykami, kosami, grabiami, nożami do szczypania drzewek, oczekowania — ilu jest uczniów, a że kosztuje to tysiące złotych, więc narzędzi nie ma, przeto i ćwiczeń prowadzić nie można.

W takich warunkach otwierając gimnazja rolnicze, budujemy pozycję w urzędowej statystyce, nie wprowadzając na odcinku nowej organizacji kultury wsi żadnych zmian na lepsze.

Wiesław Jażdżyński

NASTĘPNY NUMER „WSI”
POŚWIĘCONY
ŻYCIU AKADEMICKIEMU.

SPROSTOWANIE

W ostatnim numerze tyg. „Wies” zostało zniekształcone nazwisko autora artykułu „Drogi reformy Oświaty” wiceministra Wilhelm Garnarczyka, za co przepraszamy czytelników i Autora.

W OSTATNIM 40 (119) NUMERZE „WSI” Z DNIA 19 PAŹDZIERNIKA 1947 R.:

Jerzy Falenciak — Od Świętochowskiego do Sreniowskiego; Jan Aleksander Król — Nazwijmy rzeczy po imieniu; Wilhelm Garnarczyk — Drogi reformy oświaty; Nowa chłopska organizacja. T. U. L. R. P.; Jan Aleksander Zaremba — Zapiski świętokrzyskie; Henryk Biłka — Idylle: Elektryfikacja wsi, Radio na wsi, Dom ludowy; Lech Budrecki — Jean Giono — chłopski pisarz francuski; Seweryn Skulski — Życiorys pisarza chłopskiego; Maciej Czula — Nie tylko prądowicy; Marian Narcew Listowski — Wśród przodowników nowego ustroju; Anna Kamińska — A jednak prądowicy; Fakty i zdania: Norman P. Caulfield — Ameryka plątuje żmiję; St. S. Gębała — Cepy; Bolesław Wstydliwy — Indyki, ptaki filozoficzne...; Wiesław Jażdżyński — Niech nie wie lewica...; 11 ilustracji, 8 stron.

POECI RADZIECCY

Aleksander Twardowski

NA DNIEPRZE *)

(z poematu Wasyl Tiorkin)

Gdy nad Ugrą front się zwierzał —
A wnet szybko się oddalił —
Do żołnierza rzekł generał:
„W twej wsi będziemy popasali”.

Toż to chwile wytęsknione
I jak gdyby wyrównanie,
Gdy ze swoim batalionem
W domu po tułaczce stanie.

Odtąd to mój zacny Tiorkin,
Że to człowiek już był, widać,
Szedł z „kazbekiem” na wieczorki,
Gdzie dziewczęta z nim szeptały.

I choć z każdym wojsk pochodem,
Wciąż się zbliżał ku tej stronie —
Ku tej miłej, skąd był rodem,
Wciąż ogromnie tęsknił do niej.

I czy marsz czy grają działa
Czy to sen czy żmudna warta
Sama jakoś się wiązała
O tej ziemi pieśń uparta:

Matko — Ziemi ty rodzona
Moja strono zalesiona,
Naddnieprowa i jedyna,
Witaj mi i pozdrow syna
Ach witaj mi pstra osinko,
Która krasisz wczesną jesień,
Rzeko Elni, rzeko Glinko
Pozdrowienie me Łuczesie.
Matko ziemi ty rodzona,
Toż tam w tobie moc nie miała,
Jeśli dusza utęskniona
Tak się wciąż do ciebie rwała,
Matko ziemi ty rodzona
Chato ojców zadymiona,
Nie bym chwalił ci się z tego
Lub czuł żal... Tak słowa biegą.

I tak ci się snuła sama
W długim marszu w broni szczękach,
Wśród trosk szarych i załamań,
Apostrofa czy piosenka?

Ale wojnie — nie nowina —
Wszędzie jest jednakie pole
Czy to bujna Ukraina,
Czy to Kaukaz, czy też Smoleńsk.

Więc przez wiele rzek rozlanych
I po mostach, i wzdłuż brodów,
Mimo, mimo stron kochanych
Het, dywizja szła od wschodu.

A na lewo w owym czasie
Poprzez wioskę bohatera
O jesieni rannej krasie
Jakiś inny szedł generał...

Wkrąg babiego lata nieci
Złotem osnuwały głowy...
Wojska szły, Aż raz o świcie
Bój rozhucał się dniewowy.

Może być że w lata zgody
Oczyszczając złoza rzeki
Wszystko to, co skryły wody
Ujrzy znowu ktoś daleki

I rozsuje z snów ilowych
I rozwlecz z rybich przedziw
Jak pnie debów morelowych
Śmiercionośnych stos narzędzi:

Czołg rosyjski z pruskim w parze
Kres znalazły tu pospołu
I jednak w każdym szarzał
Kauczuk, chrom, i stal i ołów.

Śmiećnik wojny — dno pontonu,
W piachu liny pozrywane,
Topór, który nie ma trzonu.
Tuż nim saper w owy ranek.

Może być, że o tym dziele,
O toporze z ciężkiej stali,
Ktoś ułoży pieśń wspaniałej
Gromką pieśń o Dniepru wali

O, to nie na moją siłę!
Z takim dziełem się nie mierzyć...
Jednak czymś go przewyższyłem,
Tym, że w ślad wstępując świeży
Byłem tam, że wtedy żyłem.

tl. T. Chruścielewski

Eugeniusz Dołmatowski

NOCNY SAMOLOT

Nocą w chmurach samolot postyszę
Smutny jęk jego z wiatrem przybieży...
Już nad nami teraz się kołysze
I dostrzeże nas czy nie dostrzeże.

Ty przywierasz do mego ramienia.
Dziś do schronu iść już nie wypada.
Lecz choć chciałbym, nie zdejmę
wspomnienia
Niezatartych nocy Stalingradu.

Gaście światła co najrychlej wszystkie,
Papierosy odrzućcie na strone.
Ten samolot przeciąga gdzieś blisko
I kołami wygraża by szponem.

Ale nikt mnie już dziś nie usłucha
Miasto w pieśni się graży i w tanie.
Oto placów bujna zawierucha,
Oto światła żywe migotanie.

Zamilkliśmy w niejasnych obawach
Równy warkot pełźnie gdzieś za ścianą,
Jutro będą tu różę sprzedawać,
Samolotem z Krymu je przysłano.

tl. T. Chruścielewski

Aleksander Twardowski

DWA WIERSZE

Z postrzeplonego notatnika
Dwa wiersze o tym żołnierzyku,
Który w czterdziestym roku legł
Zabity na fiński śnieg.

Leżało tak jakby nieśmiało
Chłopięce to, małeńkie ciało.
Mróz mundur jego lodem ściał,
Daleko czapka odleciała.

Zdawało się, nie leżał on,
A ciągle jeszcze naprzód mknął,
Gdy lód za pole płaszcza wziął.

Wśród wojny wielkiej i okrutnej,
Dlaczego — tego nie wiem sam,
Gdy myślę o nim, tak mi smutno,
Jakby daleki i samotny,

Jakby nie on to, lecz ja sam,
Trupek dziecięcy i skostniały
Na wojnie dawno już przebrzmiałej,
Małeńki, martwy leży ja.

tl. A. Kamińska

Eugeniusz Dołmatowski

BYŁA WOJNA

Teraz mijają nam szczęśliwe dni
W hotelach, albo u przyjaciół bliskich.
Nad ziemią czysty pierwszy śnieg już mży,
A wokół, popatrz, pierwsza biel polyska.

Pierwszy nasz śnieg popod Łozową spadł,
Drugi nasz śnieg nad chmurną Wołgą

świślał.
Na Kijów pełen burz trzeci nasz śnieg się

kladał,
Czwarty nasz śnieg długo prosił na Wisłą.

Lecz oto znów nad nami pierwszy śnieg,
Ciepło od metro dymy się kłębami,
I łowię znowu twój bez troski śmiech
Spierzchniętymi w wietrze, szorstkimi
wargami.

Tymczasem jeszcze i dachu nam brak.
Pod gwiazdowym dachem dosyć widno we
śnie —

żyć zaczynamy w trzy dziesiątki lat.
Nie jest za późno to, choć i nie wcześniej.

Któż śmie pograżać serce w smutku złym?
Nie słyszał chyba iak armaty wyły.
Śnieżynka taje na policzku twym.
Minęła wojna, a myśmy przeżyli.

tl. A. Kamińska

Aleksander Twardowski

ODZNACZENIE

Dwa lata w ciągłym niepokoju
Po babsku w głębi trawiaj strach
Skrywała wyniesiony z boju
Sztandar, radzieckiej władzy znak.

Chowała sama go pociemku
Zwinęty w suchej słomy snop
Zmieniając miejsca w wiecznym lęku,
Że wpadną na trop.

I w dzień, gdy ziemia znów zadrzała
Od bitwy, spod płonących strzech
Ona z płomienia ratowała
Swoją wiech.

Pod ocalały z ognia sztandar
Pułk nowy niby z igły wstał
I order jej „Czerwony Sztandar”
Generał na wstążeczce dał.

Nie mogła baba ukryć smutku
Widząc jak order z piersi lśnił.
— Podarowałiby jałówek,
Pożytek jakiś choćby był.

tl. A. Kamińska

*) Aleksander Twardowski, autor znanych poematów chłopczyńskich i żołnierskich, i wielu wierszy ur. w r. 1910 na Smoleńszczyźnie w rodzinie kowala wiejskiego. W roku 1941 zostaje laureatem nagrody Stalinowskiej. W roku 1939 ukończył moskiewski instytut historii i filozofii. Członek partii komunistycznej od roku 1938. Po raz drugi został odznaczony nagrodą Stalinowską za poemat „Wasyl Tiorkin”. Jest jednym z najwybitniejszych poetów Związku Radzieckiego.

Jerzy Fałenciak

CO TO JEST NARÓD? (II) *)

SZLACHECKA „PUBLIC SERVICE”

W zakończeniu I tomu „Historii” Świętochowski pisze: „Gdyby ta Historia chłopów polskich zakończyła się na pierwszym jej tomie, popełniłaby oczywistą niesprawiedliwość. Szlachta polska bowiem rzeczywiście skrzywdziła chłopów długim szeregiem błędów i gwałtów, których ukryć nie można i nie należy, wszystkie jednak te winy zgładziła później troskliwą opieką i ofiarną służbą dla ludu wiejskiego. Począwszy od czwartego dziesiątka lat zeszłego wieku rozwija ona w tym kierunku wytrwałą i energiczną działalność, która pod koniec stulecia wznosi się nieraz do bohaterstwa. Najwyższym tragizmem tych usiłowań była szczerą chęć panów ziemskich wyzwolenia i oczynszowania, a wreszcie oddarzenia gruntem poddanych, paraliżowana i udaremniiona przez rady zaborcze, które nie pozwoliły wydrzeć sobie zasługi uwłaszczenia polskich chłopów i nadały im ziemię, którą oni powinni byli otrzymać, niezawodnie otrzymaliby od rodaków. Tym pozostała już tylko praca na polu oświaty ludowej i w dziedzinie wpływów moralnych, którą też oni wykonywali sumiennie pod grozą zakazów i ciężkich kar o wielkiej skali — od krótkich aresztów aż do dożywotnich więzień. — Ale o tym w następnym tomie”.

Zapowiedzią obrony kończy więc Świętochowski oskarżenie szlachty. O ile jednak to oskarżenie samo właściwie się układało, o tyle zamierzona obrona nie wyszła mu, co gorsze przeistaczając się często w oskarżenie chłopów.

Rejestr bardziej humanitarnych wypadków pochodzenia ziemiańskiego społeczeństwa na gospodarkę kapitalistyczno-rolniczą w ciągu wieku XIX i początku XX pojmując on jako „troskliwą opiekę i ofiarną służbę dla ludu wiejskiego”. Zalicza też do tej „służby” rewolucyjne bohaterstwo bojowników sprawy ludu, którzy, choć sami ze szlachty, występowali przeciwko niej i jej egzystyjnemu interesowi. Wygląda to mniej więcej w ten sposób, jakby ktoś chciał dowodzić że poprzez

rewolucyjne dzieło „dworjanina” Włodzimierza Ilicza — Lenina można rozgrzeszyć szlachtę rosyjską.

Nie potrafił także Świętochowski przejść obojętnie nad faktem, że zasługa uwłaszczenia chłopów we wszystkich trzech dzielnicach stała się wyłącznym udziałem zaborców. Czy wierzył w to co pisał, iż panowie ziemscy szczerze pragnęli wyzwolenia, oczynszowania i wreszcie uwłaszczenia poddanych a tylko rady zaborcze nie pozwoliły wydrzeć sobie zasługi wobec chłopów? Raczej nie, w każdym razie nie wierzył w powszechność tego pragnienia, ale nie był w stanie nie boleć nad dyshonorem wyrządzonym przez zaborców szlachcie polskiej, który w jego oczach utożsamiał się z obrazą całego narodu. Tylko że chłopstwo nie czuło się bynajmniej obrażone antyszlacheckimi reformami uwłaszczeniowymi a nadto nie podzielało z ich powodu szlachectwu urazy do zaborczych rządów.

Świętochowski nie mógł i nie chciał przyznać wyraźnymi słowami, że uwłaszczenie i zniesienie pańszczyzny było dobrodziejstwem chłopu ponieważ wydawały mu się one raczej antynarodowymi objawami przemocy zaborczych rządów niż społeczną reformą.

Podobnie i Sreniowski stwierdza z zalem, że to zaborcy, a nie dawna niepodległa Polska, dokonali podstawowych przeobrażeń położenia chłopskiego na ziemi polskiej. Ale uznając przy tym, że rozbiory były jedną z głównych przyczyn powolnego rozkładu instytucji chłopskiej niewoli, zastrzega równocześnie, że nie znaczy to, aby pod zaborami dokonana się w Polsce przebudowa społeczno-ustrojowa. Zabory bowiem w pewnej mierze zmunifikowały polski feudalizm łącznie z niewolą chłopską, tym samym zahamowały wszystkie czynniki pogłębiające do tamtego czasu niewolnictwo chłopu. Zahamowanie rozwoju tych czynników nie było wszakże ich unicestwieniem, bo nawet mimo uwłaszczenia szlachta pozostała nadal silną. I nie uwłaszczonego chłop ale dotkniętego uwłaszczeniem ziemianstwo stanowiło zawsze punkt oparcia dla trzech rządów zaborczych w kraju.

Zupełnie obojętny na sprawę szlacheckiego honoru w dziejach porzecznej Polski osią-

ga Sreniowski w swych dociekaniach najbardziej dziś oryginalne i najślusniejsze wyniki. Daleki od wybielania i ekskulpowania szlachty — do czego uważa się obowiązującym Świętochowski — nie zapisuje jej kosztów na dobro niesławnej pamięci zaborców całej serii reform, które przecież sprawie chłopskiej nie wyszły na zle.

Świętochowski natomiast nie był w stanie dojść jakkolwiek drogą do tego rodzaju wniosków ze względu na pierwotne założenie, iż społeczność chłopską miała wspólne interesy społeczno-gospodarcze razem ze szlachtą w obliczu wroga narodowego — zaborców.

Założenie takie odrzuca Sreniowski a limine przez pamięć i świadomość faktu, że chłop polski, znurzony doświadczeniem tysiąclecia bez mała, przebywał nazewnątrę kregu stosunków politycznych ustroju okupowanej i wciąż szlacheckiej Rzeczypospolitej a rządami zaborców. Jako „strona trzecia” mógł więc być zainteresowany osobiste porażką jednego partnera bez najmniejszego interesu w sukcesie drugiego. Oczywiście liczył na przegraną szlachty, co jeśli jest zdradą narodową, to w sensie zdrady „narodu szlacheckiego”, szlacheckiej braci. A ta aż po chwilę obecną dała wiele dowodów, że nie zrezygnuje dobrowolnie ze swych klasowo-feudalnych interesów.

Kto chce niech uważa to za teorię „dwóch wrogów”, w której kolejność „wykruszenia się wrogów” nie była bez znaczenia dla chłopu.

„Europa nie miała takiego ogółu uwstecznionej szlachty jak Polska” — spostrzega Świętochowski — „ale też nie miała tak wspólnych wyjątków” — dodaje.

Sreniowski nie przypisuje większej roli tym wyjątkom. Wykazuje też na przykładach zamiany pańszczyzny na oczynszowanie, że akcja taka nie wynikała tyle z pobudek humanitaryzmu — co Świętochowski u siebie przecenia — ile z usiłowań ku podniesieniu dochodowości folwarku. Często zaś system czynszów okazywał się dla chłopu jeszcze bardziej uciążliwy niż system zwykłej pańszczyzny.

Nie było więc możliwe uzgodnienie interesów chłopczyńskich z interesem panów ziemskich,

nawet tych dobrych, w jakiejś ponadstanowej koncepcji jednoci i integralności pogiębionego pospołu narodu polskiego.

Świętochowski tkwiąc w szlachecko-liberalistycznym subiektywizmie dopatruje się licznych znamion bezinteresowności i patriotyzmu w — bądź co bądź — swojej warstwie. Unosi się w pochwałach szlacheckiej akcji „na polu oświaty ludowej i w dziedzinie wpływów moralnych”, wykonywanej jego zdaniem „sumiennie pod grozą zakazów i ciężkich kar o wielkiej skali — od krótkich aresztów aż do dożywotnich więzień”. Nie rozróżnia przy tym działalności na prawdę oświatową — postępowej od dorywczych imprez agitacyjno-szkółkarskich, urządzanych przed przychylnym protektorem dworu i plebanii na pedagogicznej bazie rządowskiej oficyny i organizatorów, antyludowych z istoty, rozbrajających pierwsze zasoby chłopskiego radykalizmu.

Przedsięwzięcia inteligentnej a z ducha przecież wciąż pańskiej i plebańskiej oświaty nie przeszkadzały w niczym zaborcom a owszem pomagały im i wspierały w utrzymywaniu chłopu w półciemnocie społecznej oraz dewocji względem zakreptego porządku. Nie dawały też wiele więcej chłopu ponad słabą umiejętność czytania, częstokroć bez możliwości pisanja, a i ta wiedza przepadała przeważnie w odmęcie wtórnego analfabetyzmu. Tradycja tej poaż się Boże oświaty jest złym dziedzictwem publicznego szkolnictwa elementarnego na wsi i w mieście i należy ją wypełnić tam wszędzie, gdzie jeszcze występuje.

Było co prawda postacie wyjątkowe, jak Jadwiga Dziubińska, albo podziwiana tak przez Świętochowskiego Aleksandra z Sędzi-mirów Bakowską. Ale to już nie własność szlacheckiego milien, który w swoim czasie uważał je za osoby co najmniej pomysłowe jeżeli nie za zdrajców dawnopañskich ideałów, buntujących wystarczająco niesfornego chłopu. Ich działalność oświatowa i wychowawcza nie należy przeto do owej szlacheckiej „public service”, skwapliwie rejestrowanej przez Świętochowskiego na usprawiedliwienie racji bytu dworu, jako ośrodka przodującego w narodzie, dyskutowanej dziś je-

*) Patrz I część: „Od Świętochowskiego do Sreniowskiego”, „Wiś” nr 40 (119).

Krystyna Kuliczowska

W SPRAWIE POEZJI DLA DZIECI

Redakcja „Wiś” nawiązując do problemu nowej poezji dla dzieci poruszonego na łamach tegoż czasopisma w końcu roku ubiegłego, zamieściła w n-rze 32 kilka wierszy z tego działu, które mają stanowić wzory dla autorów.

Problem jest ważki i im więcej się o nim mówi, tym lepiej. Może wreszcie wyczerpie się inwencja autorów częstochowskich wierszyków, systematycznie spychanych przez krytykę do roli domowej maszynki służącej do wyrobu pieniędzy, może wreszcie opinia publiczna zmusi czynników miarodajnych do stworzenia instytucji, która zahamowałaby strumień tandety, przedostającej się przede wszystkim do rąk dzieci chłopskich i robotniczych. Jest rzeczą godną podkreślenia, że z inicjatywą stworzenia poezji dla dzieci opartej na nowych podstawach wyszło czasopismo poświęcone sprawom wiś, że nie poprzestało na teoretycznych postulatach, lecz dało próbę ich realizacji. Należy ocenić tę ambicję, lecz nie decyduje ona jeszcze o wynikach. Warto przyjrzeć się bliżej sześciu wierszom zamieszczonym we „Wiś” i zadać sobie pytanie, czy istotnie będzie je czytało dziecko wiejskie, czy będzie je czytało jakikolwiek dziecko.

Redakcja „Wiś” zaznacza na wstępie, że wiersze owe posiadają trzy cechy, które pozwalają traktować je jako wzory: 1) każdy z nich wyrasta z pewnego nurtu literackiego i posiada swoistą formę (obrazek dramatyczny, żart słowny, liryczna refleksyjna, nieregularna proza poetycka); 2) autorzy traktują dziecko poważnie, jako odbiorcę kulturalnego i nie chcą zamiast poezji podawać mu bezwartościowych odpadków; 3) wiersze te „przemawiają do dziecka wiejskiego, uwzględniają odrębność jego spraw życiowych, jego wyobraźni i otaczających je realiów, są więc w tym sensie chyba pierwszymi rewolucyjnymi zdarzeniami w literaturze dla dzieci — podczas gdy w utworach Konopnickiej dziecko wiejskie zjawiało się tylko jako obiekt filantropii dla pań!”

Dotąd wszystko w porządku (z wyjątkiem Konopnickiej, lecz to jest sprawa, o której warto osobno pomówić), jak jednak przedstawia się z bliska owe przykłady?

Czy są one rzeczywiście rewolucyjne w treści i formie, szersze od tego, co powstało dotąd, wartościowe pod względem artystycznym? A przecież to nie wszystko — muszą one spełnić jeden jeszcze, najważniejszy warunek — być zgodne z psychiką współczesnego dziecka. Wiersz, który nie spełnia tego warunku, może być dobry lub zły, tradycyjny lub nowatorski, realistyczny lub fantastyczny, lecz nie jest utworem dla dziecka.

Pierwszy z wierszy zamieszczonych na łamach „Wiś” nosi tytuł „Nowy chleb” (autor Bronisław Marcinek) i rozpoczyna się w ten sposób:

Matka na łonie chleb kraje nowy
I dzieciom wręcza po dużym kromie,
A dzieci wnoszą do góry głowy.
Patrz na chlebek pulchny łakomie.

Zarówno ten początek, jak dalszy ciąg, w którym dzieci rozmawiają z rodzicami w sposób ciężki i sztuczny nie posiada żadnych cech „nowej” poezji, żadnej jednolitości stylowej, bowiem obok naturalistycznych wyrażań gwarowych jak „to se pudmucha”, masz wiatr w gębie” razi na tle takich oto solennych partii:

Wchodzi do chaty
Zadany ojciec i w progu rzecze
Ale wesołej nucie do żony...
(podkr. moje)

I dlaczego „ale”? Czy w progu każdy pojawiać się zwykły z ponurą miną? A mamy przecież takie wdzięczne wiersze o chlebie, począwszy od poczywanego Jachowicza, który napisał jak umiał o tym, jak to

piekarz z maki chleb wypieka
na pożytek dla człowieka

aż do pięknego wiersza Porazińskiej o chlebowym cieście:

Kipi ciasto z dzieży, blisko już podłoga,
Jak matusia wróca co będzie, laboga!
A gliniary piesek chlasi!... ozorkiem sięga.

Odrazu dziecko widzi wszystko w ruchu, boi się co będzie, gdy mama przyjedzie, uśmiecha się do pieśka, który wylizuje ciasto, chociaż jest z gliny bo przecież w izbie wszyscy żyje...

Następny wiersz zatytułowany „Córce Jance” — (autor: Kirił - Nowaczyk) to jeszcze jeden z wielu pięknych wierszy, jakie niejednokrotnie ojcowie — poeci pisali do swych dzieci (z dawnych choćby Ejsmond, z nowszych Z. Biełkowski). Jeśli córka ma lat dwanaście będzie może mogła ogarnąć sens metafory „wieczór jak chłopiec usypia płochy pod listkami wierz nad strumykiem” i zrozumieć, że „dwie raczyny — zbyt wiele — i mało”, by przywołać gwiazdy zza okna, lecz zrozumie dlatego, że przestała już być dzieckiem.

Zupełnie niezrozumiała dla dziecka jest także „Rozmowa z chorą dziewczynką” Zygmunta Stolarskiego. Jakże bowiem dziecko może uwierzyć w takie zapewnienie:

Nigdy już nie upadniesz, gdy z dziećmi
z koloni
Gonić będziesz latawca z błyszczącej
cynfoli

gdy gonitwa i upadek, to przecież najbardziej istotną część żywiołu zabawy? I jak ma rozumieć — skoro na początku wiersza uwierzyło, że dziewczynka jest chora — taki passus:

Wcale nie jesteś chora. Ten doktor żartował
A doktor, co żartuje, to zwykły konował
(sic!)
Choć chodzi w białym kitlu i ma okulary
Nie jest wcale doktorem taki grubas
stary.

W ostatnich słowach mieści się już votum nieufności wobec pracy lekarza. Z drugiej zaś strony autor, choć redakcja odżęgnęła się od wpływu Konopnickiej, wpada zaraz w następnej zwrotce w pełen patosu melodramatyczny styl, cechujący autorkę „W piwnicznej izbie” (zresztą przede wszystkim w utworach pisanych dla dorosłych, gdyż wiedziała, że dla dzieci trzeba przemawiać po prostu):

Anna Kamińska

Zły wilk, dobra babcia

Oto leży przekreślona przez Krystynę Kuliczowską nasza kolumna wierszy dla dzieci. Można by stosując metodę naszego surowego krytyka podjąć się obrony każdego z kolei wiersza pokazując rzetelniejsze wyrażenia i zwroty, pokazując nie to, czego w wierszach brak, lecz co w nich jest. Byłoby to dyskusyjne manowce.

O wiele ważniejsze będzie określenie, jaki to system wychowania wyraża się poprzez krytykę Kuliczowskiej i jaką funkcję w tym systemie przyznaje ono literaturze.

Niewątpliwie system wychowawczy jest konsekwencją ogólną bynajmniej nie liczącą się z psychiką dziecka. Wprost przeciwnie, dąży do opanowania tej psychiki i wszelkie niepodporządkowanie się systemowi osadza natychmiast: dziecko jest niegrzeczne. Jednym z przejawów tej przemocy wychowawczej jest literatura, na którą dziecko zdolne jest na ogół reagować bardzo wcześnie. W krytyce Kuliczowskiej dojrzeć można trzy funkcje, jakie przeznacza ona literaturze dla dzieci. Przede wszystkim jednak spełnić musi ona oczywisty postulat dostępności dla umysłu dziecka. I nie tylko — musi się ciągle liczyć z jego skłonnościami psychicznymi dość dobrze zbadanymi przez nowoczesnych psychologów.

Pierwszą funkcją literatury dziecięcej byłoby kształcenie poczucia moralnego, drugą wyrabianie zmysłu estetycznego. Trzecią byłaby funkcja bawienia, rozweselania, budzenia określonych nastrojów.

Krytyka literatury dziecięcej, jaką Kuliczowska uprawia na łamach pism literackich czerpie natchnienie z pedagogiki personalistycznej, z moralistycznego ujęcia personalistycznej społecznej. Kuliczowska zaleca lub dyskwalifikuje książki posługując się kategoriami określonymi w języku niezmiennych moralności. Dobre i wychowawcze są te książki, które propagują serdeczną dobroć, sprawiedliwość, „szlachetne dążenia ku czemuś, co przetrasta osobne jednostkowe życie”, humanitaryzm wobec ludzi i zwierząt.

Kuliczowska nie jest zwolenniczką mieszanina fantastyki z realizmem, a jednak cieszy się gdy ktoś poprawia bajkę o siedmiu królewiczach w ten sposób, że zamiast „żyli długo i szczęśliwie” powiada „a kraj cały dzięki ich skarbowi żył szczęśliwie”. Owszem, gdyby bajkę pozbawić jej fikcyjności literackiej, to wówczas byłaby to niezawodnie poprawka, ale w jakim stylu! Gdyby bajki dały się poprawiać, to szczęśliwi królewicze zamiast okazywać swoją filantropię z głębi pałaców, powinni byli dokonać rewolucji społecznej. Darujmy sobie ten żart — pokazuje on bowiem abstrakcyjność moralizmu tak lekko przystającego nawet do ustroju poddaństwa. W ujęciu Kuliczowskiej i ostatnia wojna z Niemcami mieści się w zborze bajek: bo tak samo da się określić antynomią dobra i zła. W recenzji z książki Gruszedkiej „Od Karpat nad Baityk” pisała autorka naszego artykułu o wojnie jako o krzywym dobru i wartości recenzowanej książki widziała we „wszczepianiu wiary w piękno i dobro w momencie rozpętania zła”

Podobnie przyjemność sprawił Kuliczowskiej Zechenter zmieniając w bajkę o Królowie Śnieżce sytuację rodzinną bohaterki. Nie była ona pasierbicą złej królowej, lecz jej służącą i w ten sposób dawny, konflikt rodzinny stał się konfliktem niemal klasowym: pracodawca i pracownik najemny. Czy znów i tu bajka nie dała się uwspółcześnić zupełnie? Bo nieszczęściem jest w niej tylko fakt, że królowa była złą pracodawczynią, a nie fakt nieszczęsnego ustroju, w którym pracodawca bywa zły lub dobry. Bynajmniej nie stawiamy propozycji przełożenia starych bajek ludowych na język nowego ustroju. Noszą one wyraźny ślad ustroju feudalnego i sama myśl uwspółcześnienia go jest wsteczna.

Znamy filmowe bajki radzieckie operujące także motywami ludowymi, ukazujące śmie-

Za cóż by ktoś miał karę tak okrutną?
Zesłać na ciebie? Za dzieciństwo smutne,
Za ziemniaki na obiad suche, niekрасzone,
Jalowe zbiory ojca na szczupłym zagonie?

Czas by było zerwać z tym cierpiącym stosunkiem do ludności wiejskiej, z problemem dziejowej kary za niepopelnione zbrodnie, z tym co w dobie międzywojennej Jerzy Stempowski nazwał „literaturą grozy i litości”.

Pozostałe trzy wiersze zamieszczone na łamach „Wiś” także nie są utworami dla dzieci. „Zar ptaszek” Tadeusza Chrościelewskiego — to fantastyczna igraszka nieuchwytna w treści. „Lektura” tego wiersza może dać dziecku co najwyżej wrażenia czysto dźwiękowe, bowiem skoczny pięciogłoskowy łańcuch wpada w ucho. Wiersze T. Murasa i A. Kamińskiej są pełne dygresji i dalekich skojarzeń. Zestawienie poszczególnych obrazów jest w nich zupełnie sprzeczne z widzeniem świata właściwym dziecku. Gdy autor mówi:

Wczoraj tatuś opowiadał w domu,
Że młynarz bierze za dużą miarkę od mielenia żyta,
Ty obiecałeś młyn wybudować własny —

dziecko zrozumiało (z pewnym trudem), że chodzi o opłatę za mielenie maki oczekuje opowiadania o tym, jak mały konstruktor zabrał się do roboty, a tymczasem zostało to już opowiedziane bez przygotowania i bez podania przyczyny sprawczej przed cytowanym ustępem, a teraz nasępia ze strony autora wahania i wątpliwości — skąd weźmie kamienie, a czy mu się to uda i przewidywanie, że młyn zmiele tylko tyle, ile siostrzycka przyniesie w obu rączkach. Obok siostrzycki pojawia się także mały braciśzek, którego chłopiec kołysze, choć ma przecież tak absorbującą robotę i nie wiadomo w ogóle, skąd oboje się wzięli. I znowu pogwałcenie psychiki dziecka. Wiersz opowiada o tym, co będzie zanim sam bieg wypadków przekona czytelnika, że jednak bez pomocy starszych trudno mu coś dobrze wykonać. Zdyskwalifikowanie z góry wysiłków dziecka w żadnym razie nie sprzyja założeniu, że traktuje się je poważnie. Czyż nie lepiej ten temat opracować tak po prostu, jak uczyniła to M. Malawska w wierszyku o Jędrku, który „posiał żytko przy studni, co dudni, woda je rozmoczyła, ludzie przydeptali” i zrozumiał wreszcie, że trzeba siać w polu, na zagonie.

Anna Kamińska w swym krucutkim interesującym z punktu widzenia literackiego utworze pisanym poetycką prozą „Rymarz” zamiast skupić uwagę dziecka na przedmiocie, rozprasza ją momentalnie i prowokuje zupełnie odskakujące od głównej treści pytania. Bowiemy jeśli „rymarz” robi: skórzana portmonetkę do błękitnej kieszeni wujka, z której wystaje także róg krochmalonej chustki; i słownik angielski, dziecko, które uważnie obserwuje, zaraz zapyta, dlaczego wszystko wystaje z kieszeni, kiedy powinno być schowane, bo się zgubi, dlaczego kieszeń ma błękitną podszewkę i skąd tam się wziął słownik angielski i w ogóle co to jest. Jeśli chcemy przekształcić rzeczywistość, niech równo styl, jak obrazowanie będzie przenikliwe fantastyka, jeśli zaś chcemy go poinformować o pracy rymarza, dajmy mu rzetelną wiadomość, a nie szczegóły gromadzone na zasadzie notowania „strumienia świadomości”. A właśnie dzieci pragnęłyby się dowiedzieć, jak wyglądała ta portmonetka, czy jest z żółtej czy z czarnej skóry, czy jest zapinana na guziczek, ile wuj nosi w niej pieniędzy i co za nie swemu siostrzeńcowi kupi. Dziecko lubi szczegóły, lecz nie wówczas, gdy układ ich jest abstrakcyjny.

Walka z łatwizną jest pierwszym obowiązkiem tych, którym leży na sercu sprawa literatury dla dzieci. Postulat, by poezja dla dzieci nie opierała się tradycyjnemu i beznamiętnemu na dawnych wzorach, by odnawiała środki poetyckie w oparciu o aktualnie panujące kierunki poetyckie, jest słuszny, lecz jeśli dążenie to nie jest poparte znajomością psychiki żywego dziecka, staje się wyrozumowaną koncepcją i musi się skończyć manierą. Prostota podejścia i bezpośredniość odczucia psychiki dziecka jest u autora wierszy dla dzieci; równie ważne jak intuicja pedagogiczna i bogactwo wyobraźni. Nie chodzi nawet tutaj o kompletną zrozumiałość. Dziecko lubi czasem, jeśli zaskoczy je dziwne, nieznanne słowo, nauczy się go nawet, nie rozumiejąc, lecz wówczas wiersz musi posiadać inne, równie ważne dla niego wartości: przyswajalny rytm, wyrażenia dźwiękonaśladowcze i — co najważniejsze — humor, umiejętność wywołania śmiechu z niezgo, akcja żywa i ruch, w którym utonie takie czy inne niezrozumiałe słowo. Lecz wymagać od dziecka, by zainteresowało się nudnym wierszem o ciężkim rytmie lub w ogóle bez rytmu, zawierającym metafory, których uchwycenie wymaga kultury literackiej, jest nonsensem. Sztuka dla dziecka będzie prawdziwą sztuką, gdy wyjdzie od pojęć i wyobrażeń dziecka, a nie wówczas, gdy będzie sztucznie s'osować do ich poziomu gotowe, odziedziczone po jakiegokolwiek tradycji literackiej wzory.

Nie zapominajmy o tym, że walczyć ze złym wierszem dla dziecka, mamy obowiązkiem pamiętać o tych, które były dobre. Przejrzyjmy np. pozycje zawarte w skromnym, wydanym nakładem Chłopskiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci zbiorku wierszy dla dziecińców. Bada tutaj właśnie wiersze o tematyce wiejskiej, — i o malowanych dzbanach i o świerszczu za konimem i o samodzielnej pracy, do której dziecko wiejskie przywykło od malenka. Wiersze te — zwłaszcza Rogoszoński i Porazińskiej — dźwięczą rytmem ludowych piosenek ujmują urokiem prymitywu i naiwną fantastyką.

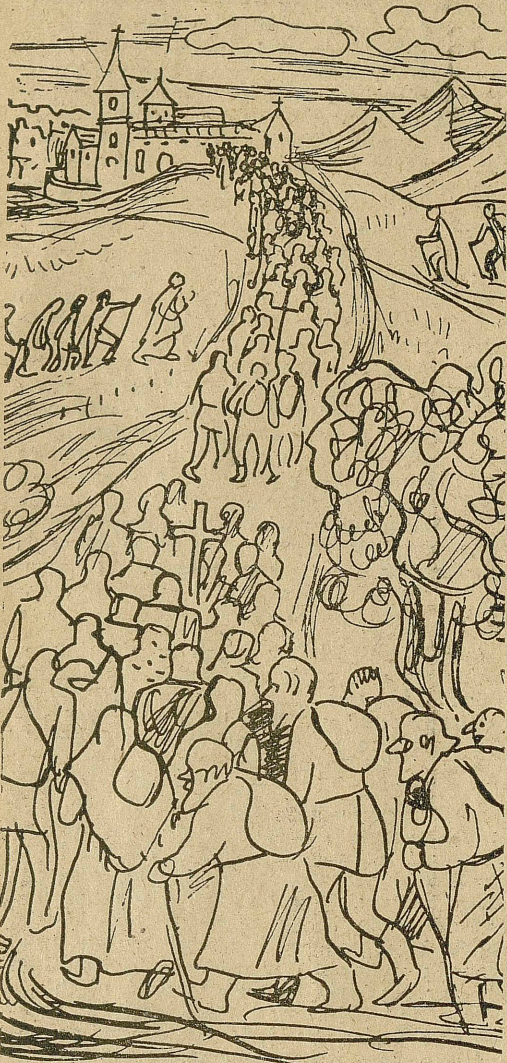
Znajdziemy tutaj także wierszyki Konopnickiej, nad którymi warto się zatrzymać, gdyż dziecko wiejskie występuje tam w kręgu pracy, i wcale nie jako „obiekty filantropii dla pań!”. Przekonamy się, że mamy już dobre tradycje „wiejskie” w literaturze dla dzieci, tradycje oparte o zdrowy rozsądek i rozumienie psychiki dziecka, a nie na abstrakcyjnych koncepcjach. Twórczość dla dzieci wymaga pełnej odpowiedzialności za słowo, nie tylko chęci odnowienia tego, co było i wyrzucenia resztek do lamusa.

Przekreślenie jednym zamachem wszystkiego, co dotąd powstało jako „katarzynkowej bzdury” w imię nowatorskich osiągnięć, które mogą okazać się tylko nieudana próba, jest ryzykowne i krótkowzroczne. Brudną wodę można wówczas wylać wraz z dzieckiem...

Nasza kolumna wierszy dla dzieci w nr. 32 mogłaby być nadal rzeczowym materiałem do dyskusji.

Piotr Wyrobek

WCZASY KALWARYJSKIE



rys. St. Cieloch

Działo się w pamiętnym roku kryzysu gospodarczego wsi polskiej w roku 1934. Jeszcze lato słotne, była powódź. Przed chałupą przy gościńcu s'ojąca zatrzymuje się chłop-pielgrzym, któremu na imię było Piotr, bo usłyszał od chałupy donośny głos: „Pietrek! — zaprzęgaj konia!”

— „Juz — tatusiu — juz!” — dochodzi gdzieś z głębi chałupy głos pacholęcia. Na to wołanie chłop, idący drogą przez wieś z tobołkiem na plecach, trzymający w lewej ręce kapelusz a w prawej kij zrobiony z uciętej gałęzi przydrożnej gdzieś brzozy, odmawiając po drodze pacierze, zbliżył się ku domowi i choć nikogo nie widział, wypowiedział „pochwalony Jezus Chrystus!”, a wtedy skądś z kąta wyszedł gospodarz i zaczął coś majstrować przy wozie. A ów pielgrzym pyta: „Kaz-ła się wybieracie — przyjacielu?”

— „A dyc — babę wyprawiam na Kalwarię, niechby się uspokoiła, niechby zapomniała choć na chwilę o tej biedzie, która nas trapi. Chce, zanim słońce wyjdzie zza Łysej Góry, aby odwiózł ją parobek do Makowa, bo stamtąd pojedzie już z jakąś kompanią.”

— „Jeżeliście łaskawi, to się przesiadnie, za „Bóg zapłać”, a jeśli nie za to, to za zapłatą.”

— „A no-dyć dobrze — siadajcie na wóz, dyc i kumoter ma jechać — to woma będzie weselej w trójkę”. Przejeżdżawszy się — pojechali.

Zapowiadany wschodem słońca prześliczny ranek, wróżył, że dzień będzie pogodny, nawet upalny. Słoneczny dzień sierpniowy. Gościńcami i ścieżkami polnymi, na przełaj pół wiodącymi, idą z tobołkami na plecach: chłopcy, baby, parobcy, to znowu gromadka dziewcząt i wyrostków. Gdzie spojrzysz, widzisz spuszczające się po zboczach gór pojedyncze grupki lub też większe gromady ludzi, a nawet zbiorowe kompanie, nawet i takie z kapelą na instrumentach dętych. Kompanie te poprzędza parobczak z wieniec na głowie z modrzewia, niosący krzyż wzięty z kościoła lub też małą chorągiewkę kościelną.

Walą też luda moc ze wszystkich stron.

Nasi pielgrzymi nie są odosobnieni, bo — korzystając z miłego ranego chłodu — od wczesnego już ranka idą kompanie: od Orawy, ze Słowaczyny, od Tater, od Babiej Góry, i Żywca — górale — i ci też z dalszych stron hań od Spisza, Nowego Sącza. — Oczywiście tych tu nie widać, którzy w tej samej intencji owczym pędem zdążają: od Tarnowa, Tuchowa, Brzeska, Bochni, a przez Kraków wałą od Kielc, Miechowa, Olkusza, Bezdźna, Sosnowca, — od Śląska Cieszyńskiego i Górnego, by spotkać się razem pod klasztorem, w klasztorze lub na drózkach. Idą — śpiewając, a kapele na przemian grają znane pieśni:

„Śliczna Gwiazdo, wspaniała...” lub „Po górach, dolinach rozlega się dzwon...”

Nasi znajomi polaczyli się w Makowie z idącą od Zawoi kompanią. Odpoczywając po drodze wiodącej przez serpentyne Makowskiej Góry, nawiązują z sobą rozmowę na temat kryzysu gospodarczego, którego skutki dla wszystkich są prawie jednakowo straszne: bo ani z piónów, choćby się urodziły, ani z chowu bydła, nie ma prawie żadnej korzyści, krom tego, co się zje, by już na

przednoku nie mieć co jeść i głodować. Zarobków w kraju brak, a wydatków bardzo wiele: na przyodziewek, na podatki, a długi też są, bo ten się zadłużył w kasie na kupno konia do wiosny, inny na kupno krowy, kupno kawałka pola lub postawienie domostwa — a inny znów, bo syna ma w szkołach, lub miał wesele, bo żenił syna, lub za małż wydał córkę, lub wreszcie ten i ów na spłatę rodzeństwa lub leczenia chorych członków rodziny.

Biadając tak, doszli ku figurze na górze Chełm. Z góry tej ukazują się im w całej swej postaci klasztor kalwaryjski. W dali majaczą Bielany z klasztorem O. O. Kamendulów.

Nasi pątnicy na widok Kalwarii padają krzyżem na twarz, obróceniem w stronę Kalwarii, jak to i Turcy zwykli czynić obróceniem w stronę Mekki — i modlą się: jedni odmawiając pacierz, a drudzy „Któryś cierpiat za nas rany...”

Nareszcie posilają się, jedząc chleb żytni lub owsiany placek z twarogiem i popijając wodę przyniesioną w kapeluszu z pobliskiego źródła pod lasem, gdy jeden z pierwszaków zagadną przewodnika:

— „Te piękna hań Kalwarię musiał jakiś król ufundować?”

— „Nie król — odpowiada przewodnik — ale potężny magnat, który na króla się porwał z podwładnym sobie wojskiem. Był to Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda krakowski a lanckoroński starosta. Hań na tej s'ozkowanej górze na wschód od góry Kalwaryjskiej, była jego siedziba”. — „Dawnym, czas — powiada przewodnik — magnaci i królowie stawiali po górach takie zamki. Tu też, na lanckorońskiej górze, dominował zamek Zebrzydowski nad okolicą — jak niegdyś na przeciwległej górze Barwałdu dominowało zamczysko żubójczy Włodkowiej. Historia tych obu zamków sięga czasów, kiedy to zachodziła potrzeba takich zamków położonych opodal granicy państwa. Dawne to czasy, gdy potem za króla Kazimierza Jagiellończyka to żubójskie gniazdo Włodkowiej z rozkazu króla, zrównano z ziemią. Zamek zaś na lanckorońskiej górze, przechodząc różne koleje i zmieniając właścicieli, przetrwał cały do pierwszego rozbioru Polski. A jest znany z tego, że tam uknułto ów zamach stanu — zwany w historii rokoszem Zebrzydowskiego — za króla Zygmunta III Wazy. — Lanckorona sławna też jest z tego, że tam była os'adnia warowna placówka walcząca się do upadku Polski w czasach walki zbrojnej oddziałów Konfederatów barskich z Rosjanami i Rakusami; przed pierwszym rozbiorem Polski!” — „Dziś na obu górach, okalających Kalwarię, są tylko małe znaczne ślady dawniejszych ufortyfikowań: ów tych siedzib: żubójkiej i magnackiej”.

— „Dziejowa zawierucha i czas zmioty też i te ostatnia placówkę Konfederatów barskich”. — „Ale Mikołaj Zebrzydowski, pogodziwszy się z królem, ukajał się też przed Bogiem, pozostawiając inną — lepszą po sobie pamięć. Ufundował on bowiem na terytorium swoich posiadłości, między górą Włodkowiej a górą Lanckorońską, tę Kalwarię, złożoną z 42 kaplic, z klasztorem O. O. Bernardynów, tworząc tu niejako rezydencję Boskiego Mistrza i Jego Najświętszej, Matki. — „Tam — widzicie — od Lanckorońskiej góry po górę Włodkowiej ciągnie się lesista i pagórkowata kolumna, w której rozsiadły się wsie: Zebrzydowice, Brody i Bugaj, okalające osadę miejską zwaną Kalwarią Zebrzydowską. Ta osada powstała po zbudowaniu Kalwarii, jako osiedle rzemieślników stolarzy. A znowu po wschodniej stronie Lanckorony, osiedlili się w Sukowicach kowale. Wyrabiali oni podkowy pod konie, okucia do wozów, drzwi, i okien, oraz łańcuchy do spinania wozów w czasie postoju wojsk w obozach warownych. Jedni i drudzy pracowali dla magnackiego dworu i dla klasztoru, mając z tego utrzymanie. To też i dziś maćrolni chłopcy lub chałupnicy, ci kowale sułkowicy, wyrabiają przeważnie podkowy pod konie, łańcuchy i t.p., sprzedając je po okolicznych targach i jarmarkach. Z biegiem czasu przemysł stolarski przeszedł się do okolicznych wiosek”.

— „W tychże wioskach uchwycili też kołbiety w swe ręce wyrób szkaplerzy, oraz kramarstwo odpustowe szkaplerzy i obrazków”. Nie myślcie jednak że piękna ta okolica jest kwitnąca dobrobytem osada przemysłowa, jak Częstochowa lub Lourdes we Francji, co skupia w sobie cały rodzinny handel i przemysł. — „A dlaczego ci maćrolni właściciele i ludność Kalwarii tak są tak biedni, mimo, że liczne odpusty gromadzą tu dościsłe rzesze ludzi pozostawiających tu dościsłe pieniądze?” — zapytał kapełmistrz Pedziwiatr.

— „Oto dlaczego, — mówi przewodnik, — że pieniądze te idą do kieszeni spekulantów i to zamieszcowych — więc idą w świat. Wszak ci kramarze, to przeważnie ludzie nie tutejsi, lecz przybywający z innych miast i okolic”.

— „Gdyby tak — mówi Pedziwiatr — na zasadach spółdzielczości zorganizować w tych wsiach, okalających Kalwarię, i dalszych jej okolicach przemysł domowy ludowy w sposób naukowy, to możnaby było tę Kalwarię też uprzemysłowić i wzbogacić przez stworzenie tu wytwórczości przez fabrykację najrozmaitszych przedmiotów — jak: zabawek dziecięcych, fajek, cygarniczek, grzebieli, cybuchów, piszczałek, i innych instrumentów muzycznych, różańców, i koronek w taki sam sposób, jak kobiety we wsi Bugaj wyrabiają szkaplerze. Możliwość to

wszystko sprzedawać w bazarach spółdzielczych przemysłu ludowego domowego bez pośrednictwa obcych kramarzy i pośredników, którzy tu przywożą obcy i gorszy nieraz od krajowego towar, sprowadzany z zagranicy. Wszystkiego tego towaru kramarskiego są dostawcami dla kramarzy hurtownicy nie tutejsi. Ich też kapitał zasila kramarstwo odpustowe, by konsumować wszystkie z niego płynące zyski”.

„Pośrednicy ci opanowali też kalwaryjski przemysł stolarski tak dalece, że płakać się chce nad tą stolarską niedolą, bo warunki, w jakich stolarze kalwaryjscy pracowali przed wojną, są wprost okropne. A do kalwaryjskich stolarzy zaliczyć też należy tych właścicieli, którzy wyuczywszy się tego rzemiosła u majstrów kalwaryjskich, uprawiają je jako przemysł domowy uboczny przy maćrolnych gospodarstwach, lecz takich jest niewiele. Są to przeważnie chałupnicy, zdani też na łaskę lub niełaskę pośredników kapitalistycznych”.

„Wśród stolarzy kalwaryjskich nieliczne są te jednostki, którym się nieco lepiej powodzi, bo pokonczyli tu naukę praktyczną w szkole artykułów przemysłu s'olarskiego i udało im się tak wyrobić praktycznie, że mają większe warsztaty lub nawet fabryki stolarskie. Jednak i ci pracują też dla hurtowników”.

„Jeśli chodzi o dostawę stolarzem surowego materiału, to dostawcami są obcy nawet z zagranicy — jak to było przed wojną — bo aż z Wiednia. S'olarz kupuje u nich nie tyl-

ko deski na kredyt, ale także artykuły pomocnicze takie, jak spirytus do politur, pokost, klej, gwoździe — nie wyłączając narzędzi s'olarskich i artykułów spożywczych. Handlujący meblami hurtownicy czy pośrednicy mebli, odwożonych do składów w Krakowie czy w Kałowicach, działają nieraz na szkodę kalwaryjskiego przemysłu stolarskiego i krzywdzą wytwórców mebli kalwaryjskich, reklamując nieraz wyroby tutejsze jako towar wiedeński. Z tego wynika, że stolarskie wyroby kalwaryjskie nie ustępują nawet luksusowym wyrobom zagranicznym”.

„Aby się pątnicy nie poniewierali i nie spalili na ziemi w czasie s'oty powinna w Kalwarii powstać spółdzielnia mająca na celu pobudowanie odpowiedniej ilości domów letniskowych i noclegowych i postarać się przy nich o zbudowanie porządnego studzieni celem dostarczenia zdrowej wody źródlanej do picia”.

W tym miejscu przewodnik — Józef Bywalec — przerywa swój wykład i powiada: „No, ale chodźmy”. Ludziska powstają wyrażając mu „Bóg zapłać” i szykują się po dwugodzinny wypoczynek do dokończenia swojej pielgrzymki „do świętej Kalwarii”. Idą znowu ze śpiewem, a w niespełną godzinę są już pod klasztorem koło kaplicy św. Rafała, gdzie na przyjęcie pielgrzymki czeka już z krzyżem w jednej ręce, a z kropidłem w drugiej O. Bernardyn, aby wprowadzić kompanię do kościoła klasztorowego i pobłogosławić, tych, którzy zdalekich stron szukają pokrzepienia i zapomnienia o biedzie.

Władysław Blachut

ODPUSTOWE REFLEKSJE

Szeroko i od dawna słynie chłop polski ze swej os'entacyjnej pobożności. Manifestuje ją na zewnątrz zawsze tłumnym udziałem we wszelkich nabożeństwach i uroczystościach kościelnych, przede wszystkim w t. zw. misjach i na dorocznych odpustach parafialnych, a zwłaszcza na odpustach w miejscowościach z działa pradziada cudami słanych o znaczeniu dzielnicowym (Kalwaria) czy ogólnopolskim (Częstochowa).

Dość często zdarza się, że wyrostek wiejski swój obowiązkowy udział w nabożeństwie niedzielnym ogranicza praktycznie do wystawiania w kapeluszu na głowie i z papierosem w ustach gdzieś w pobliżu kościoła, w dogodnym punkcie załotniczo-obszernym, a trzydniowe odpustową na Kalwarię czy w Częstochowie traktuje jako specjalną, niejako ulegalizowaną okazję do nawiązywania i daleko posuniętego rozwoju niecierpliwych miłosć i romansów.

Jeszcze częściej ten „solidny” gospodarz czy „pobożna” gospodyni z tych, co to w myśl starego a mądrego przysłowia „modlą się pod figurą, a trzymają diabła za skórą”, choć nie przepuści żadnego odpustu a w czasie niedzielnego mszy św. nie rzadko na oczach wszystkich pada krzyżem w kościele, dając oczywiście wyraz swej „głębokiej” pobożności, po szczęśliwym powrocie z odpustu czy bezpośrednio po opuszczeniu umiłowanej świątyni pańskiej, bywa w swym życiu prywatnym największym sobkiem, nieuzdym sknera, a nawet dalekim od chrześcijańskich ideałów miłości bliźniego pieniaczem i zazdrośnikiem.

Nie mniej, gdy po żniwach zbliża się termin słynnych odpustów kalwaryjskich i częstochowskich wleś polska ożywia się bardziej i na dłużej.

Zarówno młodzi jak starzy, chłopcy i dziewczęta wiejskie, pobożni od święta i na codzień, a nawet ci letni lub obojętni religijnie czynią gorączkowe przygotowania do wyjazdu czy pieszej pielgrzymki na odpust do dalekiej Kalwarii lub Częstochowy. Organizatorem bywa zwykle młodszy ksiądz wikary względnie stały przewodnik wiejski, który przepowiadając donośnym głosem tekst śpiewanej przez wszystkich pieśni religijnej, prowadzi swoją „kompanię” nie czujących zmęczenia pielgrzymów nieraz przez kilka, a nawet kilkanaście dni po zakurzonych drogach i wyboistych wertepach wiejskich.

W czasie tej uciążliwej wędrówki czasem naprawdę zdarza mu się wypowiedzieć wobec swej owczarni słowa, które przypisują mu różni miastowi żartownisie, a mianowicie: „Uu-waa-żaj-cie, dziuura w moo-ście, aaby-ście tam niee-wpaa-dli-ście”, gdyż stan naszych dróg gminnych i powiatowych bardzo dużo pozostawia do życzenia, a fanatyzm religijny do tego stopnia porywa i oszałamia naszych pielgrzymów, że istotnie nie widzą dziur w mijanych mostach, ani zapadających w ziemię kulek kamieni, zwieszonych i potłuczonych na naprawę wyboistych dróg... które jakoś same nijak naprawić się nie chcą. W czasie swoich długich pielgrzymek nie czują jakoś głodu ni pragnienia, żywiąc się rzadko i skromnie tym, co zabrali ze sobą z domu do swoich węzełków i zawiniątek, popijając wodą z przydrożnych studzien i strumyków, rezygnując z zasłużonych wygód dla umęczonego ciała, nuciąc po stodółkach, a nawet pod gołym niebem. Wszystkie te u martwienia stosują w głębokim przeświadczeniu o lepszych szansach do uzyskania po przybyciu na miejsce większego, a może nawet zupełnego odpustu.

Dopiero gdy pewnego dnia zbliża się do stóp klasztoru kalwaryjskiego względnie świątyni jasnogórskiej, zaczynają pomału folgować swym ludzkim namiętnościom. I tak utrudzone ciała szukają przede wszystkim ochłody, zaś podekscytowane umysły uspokojenia w mniej lub więcej żarliwej modlitwie oraz nabywaniu widomych symbolów swej wiary w formie odpowiednich pamiątek z odpustu.

Najlepiej wyczuwają te potrzeby i słabości pobożnego ludu wiejskiego nasi najlepsi, choć domorośli psychologowie: kupcy i sklepikarze, producenci różnego rodzaju dewocjonalów oraz zawodowi i przygodni kramarze odpustowi.

Już na długo przed terminem znaczniejszych odpustowych uroczystości gromadzą zapobiegliwie ogromne zapasy piwa, wody sodowej i na czerwono zabarwionej najwykleszej wody studziennej, kieszonych ogórków w beczkach obficie zalanych s'ono-kwasną i brudną, ale o miłym zapachu koperkowym wodą, a przede wszystkim rozkładając długie kramy z różnego rodzaju dewocjonalami. Na rozwieszonych pod płóciennymi namiotami żerdziach kołyszą się w łagodnych podmuchach wiatru zawieszane na białych tasiemkach zwoje różnobarwnych szkaplerzy sukiennych z wizerunkami Matki Boskiej i Serca Jezusowego, zwisają ciężko związane różnego rodzaju koronek i różańców oraz blaszanych względnie metalowych jagnuszków. Na stołach piętrzą się stosy popularnych książeczek do nabożeństwa i pieśni odpustowych, gipsowych białe — niebieskie figury i figurki Matki Boskiej Anielskiej i czerwono — białych Serca Jezusowego, a pod ścianami; lub na ścianach domostw, względnie na specjalnych stoiskach śmieją się w słońcu kontrastową grą bajecznych kolorów długie szeregi obrazów i obrazków treści religijnej.

Wszystkie te odpustowe artykuły i eksponaty kultu religijnego nie mają nic wspólnego ze sztuką, wykonane są tandetnie sposobem szablono — fabrycznym i zbyt często urągają postulatowi estetyki. Bezsprzecznie pierwsze pod tym względem miejsce zajmują barwne oleodruki o tematyce biblijnej, naiwne — odstraszaającej, przemawiającej do wrażliwej na tym punkcie wyobraźni chłopskiej grozą i męczarnią biednych dusz, a raczej nagich ciał ludzkich, objętych płomieniami czyszcącego ognia, pełnych makabrycznych scen — wizji sądu ostatecznego lub fragmentów z żywotów świętych, jak choćby wielce popularny na wsi obrazek, przedstawiający św. Stanisława Szczepanowskiego w momencie wskrzeszania legendarnego Piotrowiny.

Nie mniej, a może dlatego wszystkie te arcydzieła cieszą się ogromnym popytem wśród rzesz chłopskich, które po tego rodzaju pamiątki z odpustu wędrują corocznie dziesiątki, a nawet setki długich mil.

I doprawdy dziwić się należy, że nikt dotąd nie pomyślał poważnie o wyzyskaniu masowych zbiorów odpustowych, jako szkoły kształcenia i wyrabiania zmysłu estetycznego wśród ogromnych rzesz chłopskich, które do dziś dnia drzemają w ich duszach głód poezji zaspakajają w poważnej mierze czytaniem lub słuchaniem naiwnych pieśni odpustowych, a swój zmysł piękną kształcą widokiem niezdatnych odlewów boskich i świętych postaci oraz wiszących na korytarzach klasztornych ogromnych malowideł ścienne, przedstawiających... w najlepszym razie pobożnie stylizowane postacie różnych fundatorów i dobrodziejów miejsc świętych oraz ich szlachetnych małżonek.

Marian Niklewski

Braki i pozostałości drobnno-kapitalistycznej gospodarki

NIE TEDY DROGA

Niedawno na łamach „Wsi” zamieszczony artykuł Jana Aleksandra Króla pt. „Kapitalizm na wsi” skłonił mnie do napisania niniejszego artykułu ze względu na występowanie zjawiska tego samego systemu może nawet bardziej jaskrawo w skalę całych wsi na terenie Podkarpacia. Nie będę tu mówił o poszczególnych osobach, ale o całych gromadach, których warunki fizjograficzne oraz dynamika zespołów pcha masowo do rozwiązywania w ten lub inny sposób trudności ekonomicznych.

Ze wsi o glebach bogatszych, które żyją na ogół zamkniętym w sobie życiem, w latach międzywojennych, młodzież zaczynała wychodzić coraz częściej do szkół w miastach, zdobywając często nawet wyższe wykształcenie, jako jeden ze sposobów zdobycia wyższej pozycji i tak w Haczowie niedawno odbył się zjazd inteligencji, pochodzącej z tej wsi. Okazało się, że przeszło 40 osób ma wyższe wykształcenie. Z tym zjawiskiem łączy się zarazem zjawisko starzenia się wsi, które iaskrawo możemy zaobserwować np. w gromadzie Wojszówka w pow. krośnieńskim, gdzie największe gospodarstwa stoją opuszczone. Są tam jeszcze starzy ojcowie, lecz młodych już nie ma, bowiem przenieśli się do miast. Inny znow obrazek przedstawia gromada Suchodół, gdzie od 50-ciu lat rozwijała swa działalność średnia szkoła rolnicza, obecnie liceum rolnicze. Znaczna część obywateli tej gromady już w kilku pokoleniach przeszła przez tę szkołę, czego następstwem jest wysoki poziom techniki rolniczej w Suchodole, lecz równocześnie i fakt, że dzisiaj już w Suchodole nie można zorganizować ani jednego zespołu PRW, bowiem cała młodzież kształci się w szkołach w mieście, i nikt już nie chce wracać na wieś, by zajmować się gospodarstwem, zostają najczęściej rzemieślnikami, kupcami, pracownikami przemysłu naftowego, nauczycielami, ostatecznie instruktorami rolnymi.

Istnieje jednak szereg wsi, które się jeszcze nie przebudziły, i tak np. w odległości około 5 km od Suchodołu jest gromada Bóbrka, gdzie nie ma ani jednego chłopca, któryby uczęszczał do gimnazjum, ale też na skalistym podłożu nie ziemia tu żywi a obróbka w lesie i szybkie naftowych a bardziej jeszcze półkrawędzie.

Uboższe gleby Podkarpacia i duża ilość gospodarstw karłowatych zmusiła tamtejszą ludność do najwcześniejszych emigracji do Ameryki, tzn. do szukania nowych źródeł dochodu — poza gospodarką — w najmie i w warunkach proletariatu do czasu.

W niektórych gromadach co piąty gospodarz był w Ameryce i przywoził stamtąd dolary. Przeważnie wszystkie bogatsze gospodarstwa na dobrych ziemiach mają kapitał amerykański. Na uboższych glebach jakkolwiek równie wyjeżdżali ludzie na zarobek do Ameryki i powracali z dolarami, zakupiona większa ilość ziemi w terenach górzystych nie przyczynia się jednakże do podniesienia standardu żywnościowego. Tu i owdzie jedynie rzucza się w oczy lepiej wybudowane obecnoscie gospodarskie wskazując, że tkwi w nim kapitał amerykański.

Dużą rolę w zdobyciu środków do życia odegrał tu przemysł naftowy. Jednakże inaczej uwidocznili się wpływ tego kapitału, jeżeli kapitał amerykański. Przeważnie bowiem, gdy mężczyzna był zatrudniony w przemyśle gospodarstwo rolne podupadło, kobiety bowiem nie potrafiły sobie dać już rady z gospodarstwem domowym i rolnym równocześnie. Pod wpływem jednakże kapitałów zdobytych w przemyśle naftowym podnosi się standard życiowy tych ludzi, a zaoszczędzone pieniądze przeważnie bywają użytkowane na budowę domów mieszkalnych.

Bardzo poważną pozycję w zdobyciu środków utrzymania rodziny, w chronieniu się przed przejściem do grupy proletariatu stanowi przemysł chałupniczy, a zwłaszcza przemysł tkacki. Najbardziej w tym kierunku jest zaawansowana gromada Korczyna położona o 5 km od Krośna. Chałupniczy warsztat tkacki w Korczynie stanowił nie tylko dobre źródło utrzymania rodziny, lecz umożliwił jednocześnie wielu rodzinom odłożenie pewnych rezerw, które zużyto na założenie sadów. Konsekwentnie dosadnie, każdego roku pewnej ilości drzewek umożliwilo powstanie pokaźnej ilości sadów i bardzo charakterystyczny jest dzisiaj stan zatrudnienia w Korczynie w około 280 warsztatów tkackich i około 350 ha sadów. Za przykładem tym poszły i inne okoliczne gromady np. gromada Odrzykoń, która posiada około 130 warsztatów tkackich i około 100 ha sadów. Z czasem głównym źródłem dochodu tych gromad stały się nie warsztaty tkackie, lecz właśnie sady. Przez tkactwo i sadownictwo powstała tam klasa drobnych przedsiębiorców, którzy np. dwa lata temu zrobili na jabłkach duże interesy. Podkarpacie bowiem było jedynym rejonem, w Polsce, w którym udały się wówczas jabłka. Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że obywatele Korczyny stali się tak dalece prywatnymi przedsiębiorcami, że nie mogą stworzyć żadnej organizacji spółdzielczej, która by im ułatwiała przeprowadzanie na dalszych rynkach zbytu tych jabłkowych interesów. Organizacja tych interesów wygląda mniej więcej w ten sposób, że tata zajmuje się ekspedycją jabłek na Śląsk, mama ich rozprzedaża a syn lub córka transportem. Również jest rzeczą charakterystyczną, że obywatele Korczyny zdobyte kapitały na handlu jabłkami nie zużyli na budowę domów w samej Korczynie, która jest bardzo zniszczona na wskutek działań wo-

jennych, względnie na budowę drogi, którą wywożą jabłka do stacji kolejowej w Krośnie, a jest to najgorzej utrzymana droga w powiecie, lecz pieniądze zużyli na wykupienie domów w pobliskich miastach, jak w Krośnie, względnie placów budowlanych w zniszczonym Jasle. Bardzo charakterystycznym objawem kapitalistycznego podejścia jest ich ustosunkowanie się do wymiaru podatku od powierzchni sadów w roku bieżącym. Podatek obliczyli, jako za duży w stosunku do opłacalności sadów przystąpili do masowego karczowania sadów w dotychczasowych rozmiarach i wracają do ziemiopłodów.

W Korczynie wszelkie pobudzenia do jakiegokolwiek pracy organizacyjnej, choćby w ramach działalności instruktora sadownictwa napotyka na zdecydowany opór.

Tak przedstawiają się drogi ewolucji naszej wsi na odcinku jednego powiatu, które przypuszczalnie w grubszych zarysach pokrywają się z ewolucją ogólną wsi zwłaszcza dawnej Galicji, a również i podobne objawy zapewne

Józef Pogan

„Nieznana wieś” J. Kapuścińskiego

Artykuł Józefa Kapuścińskiego p. t. „Wieś doskonała”, drukowany w 39 (118) Nr „Wsi”, z dnia 12 października 1947 r., wzbudza ogromny podziw. I to nie tylko u ludzi z jakiegokolwiek padłej wioski, ale również u ludzi z najbardziej żywotnej i społecznie miejscowości. Z artykułu Kapuścińskiego wynika jasno, że nawet w najgorszym systemie rządowym, nawet w niewoli można wspólnym wysiłkiem „dokażać cudów”. Nic nie stoi na przeszkodzie, gdy we wsi przypadkowo pojawi się społecznie działacz, a we dworze dobry dziedzic, najniebezpieczny zakątek można wówczas zamienić w amerykańskie tempie na „rajski ogród”. Siły z zewnątrz nie mają tu żadnego znaczenia. Jest tylko siła wewnętrzna całego społeczeństwa nie znajdującego żadnego oporu. Tak sądzi Kapuściński, przyglądając się dorobkowi jednej wsi.

W ujęciu Kapuścińskiego nie wynika wcale, by to był wyjątkowy zbieg okoliczności, szczególnie skoncentrowanie sił ludzkich, zapalów i ideałów... — a z jego opisu wynika morał: „Nie zrzucaj, chłopie, z siebie ciężkiego jarzma, tylko módl się i pracuj, a wielkich rzeczy dokazesz”. Tak to należy rozumieć.

Nie trzeba się wiele zastanawiać, by się przekonać, że artykułowi Kapuścińskiego brakuje zdrowego rozsądku, jest on wyssany z palca, próba mistyfikacji. Udowodnić mu to można, podchodząc do rzeczy z jakiegokolwiek strony. Wystarczy choć dotknąć tylko podstawowych przyczyn tej „rozbudowy wsi”.

A więc sprawa materialna. Kto na przykładłoży finansowo na rozbudowę wsi, że w przeciągu dziesięciu lat są już „dwa piękne muryrowane budynki szkolne, ładny kościół, szutrowana droga do miasteczka” i inne cuda. Odpowiedź prosta — cała wieś. Trzeszczała chyba w tej akcji każda dobrowolnie opodatkowana warga. Jeśli nie, to dziedzic musiał płacić na cele społeczne może połowę wszystkiego. A chyba niepotrzebna mu była ni szkoła, bo dwory zazwyczaj utrzymywały nauczycieli, ni kasa Raiffeisena, co — najwyżej droga do miasta. Więc mamy tu zagadnienie filantropijne bogatej jednostki, która połową potrzebnego kapitału wspierała wieś.

A jak się uporali biedacy z bezustannymi składkami. Ilu z nich usprzedało po kilka zagonów z wąskich poletek? A wielu poszło po żebractwie jeszcze przed ukończeniem budynków szkolnych i kościoła? Skąd czerpali na to, gdy wiadomo, że do ust nie mieli co włożyć, nie mieli grosza na sól, ni na przymusowe podatki? Chyba, że dziedzic i bogacze zwolnili ich od tego obowiązku, ewentualnie obniżyli najuboższemu. Ale znowu mielibyśmy wtedy nieco filantropii, źródeł której nie podaje Kapuściński.

Spójrzmy z drugiej strony medalu. Kto na przykład przewracał w głowie tym ciemnym spod karczmy chłopom, kto z miejsca potrafił pogodzić i włączyć ich do szlachetnego i pożytecznego czynu i dwór i bogacy i biedacy razem? Dziedzic? A jakże chłopci mogli uwierzyć, że dotychczasowy ich gniebiel od razu chce ich uszczęśliwić? A może dziedzic nie gniebił ich, może płacił za dzień pracy nie pięćdziesiąt groszy, a pięć złotych (nie ko- niecznie podawał w centach i koronach). Ale w takim razie też z owego dziedzica byłby niezwykle filantrop, a następnie bankrut, gdyby własnym mieniem przewyżniwał wszelki niedobór, wynikający z przewlekłego uciemiężenia ustrojowego.

A może ów nauczyciel, wójt i ten „zapalczywy” sekretarz przemówili do chłopów, uświadomili ich i zachęcali do pracy? Ale jakich mogli użyć argumentów, by chłopów przekonać, że i dziedzic i bogacze i biedacy wyjątkowo w tej wsi dla własnego dobra muszą zrównać między sobą dzieląc ich przepaść nienawiści i wszelkich antagonizmów. Bo to, co bywało dobre dla dziedzica, bywało złe dla chłopów, zaś to co odpowiadało bogaczom, nie było możliwe dla biedoty.

Z której tylko strony zaczniemy tę sprawę walczyć zawsze przychodzimy do tego samego kręcenia się w kółko. Bo aby coś zrobić wielkiego, trzeba na to dobrych warunków, dobrego podłoża, a tym jest przede wszystkim sprawiedliwy ustrój dający możliwości

będzie można spotkać i w innych częściach Polski. Widać z tego, że ewolucja wsi postępuje wybitnie w płaszczyznach pojęć światła kapitalistycznego.

W rzeczywistości, że z płaszczyzny gospodarstwa naturalnego musiał chłop przejść przez stadium kapitalizmu, musiał stać się przedsiębiorcą, zrozumieć istotę interesu, produkującą prywatnej parceli aby dopiero przejść na wyższy poziom zrozumienia interesu społecznego gromady, całej swej warstwy i narodu.

W ostatnich latach nastąpiły w naszym społeczeństwie głębokie przemiany. Polska z państwa rolniczego staje się państwem rolniczo-przemysłowym. Niepomiernie zwiększać się będzie ludność miast. Wieś się wyludni, zniknie z powierzchni ziemi większa własność a wszystkie te przemiany wymagają od strony wsi olbrzymiego wysiłku i przestawienia się gospodarki czysto naturalnej lub półnaturalnej na gospodarkę typowo produkcyjną. Z naszej wsi musimy zrobić sprawny aparat

działania. Inaczej i Salomon z próżnego nie należy. Wiadomo, najcięższe bywają początki. Jeżeli się udało przełamać upór, uświadomić, zbierać wszystkich i włączyć siły do wspólnego dzieła — i gdy biedacy wraz z innymi wytrzymali materialnie aż do wybudowania szkoły, drogi, założenia Kółka Rolniczego, Kasy itp. — dalszy rozwój wsi mógł już iść na przód. Ale na jakiej zasadzie ten początek udał się w jednej wsi wyjątkowo?

Dalej dziwna rzecz, co już podkreśliła Redakcja „Wsi”, w jaki sposób Kapuściński poznał w tej wsi biednych, gdy ich „nie odróżniał od bogaczy ni po stroju, ni po mowie, ni po mowie, ni po jedzeniu, ni po porządkach na obejściu”. Czy po szerokości pól? Więc przemierzał je krokami przeglądając akta notarialne? A szkoda, że nie wyszedł choć raz za dworskie stodoły i nie przyjrzał się, kto tam pracuje na dziedzicowych obszarach? Zapewne biedni, bo po jakimś licha bogaczowi robić u pana? Kapuściński tego nie zauważył, choć „nieznana wieś” obserwował od jej ędy aż do niebywałego rozkwitu.

A jakże po dziecinemu brzmiał twierdzenie Kapuścińskiego, że „od 1913 r. nie było w całej wsi piąka”. Ludzka skłonność do wszelkich nałogów jest tak silna, że nawet w najdoskonalszych na świecie wsiach będą ludzie popijali.

I „nie było wypadku, aby ktoś był sądzony i siedział w areszcie” — zaręcza Kapuściński. — To możliwe, ale tylko w raj, nie na ziemi między ludźmi.

„Nawet sanacyjny żandarm był gońcem a nie widmem strachu”. — Tylko w jaki sposób przeobrażał się momentalnie ze zwykłego człowieka w anioła? Bo wiadomo, że w innej wsi żandarm bywał „widmem strachu”. „A więc na granicy między zwykłą a tą idealną wsią rzuczał pałkę i wsuwał do wnętrza pazury, he?”

Dalej. Czemu Kapuściński przyglądał się biernie rozwojowi sąsiedniej wsi? Czemu nie poszedł jej śladem i rodzinnych Lipnik nie doprowadził choćby do połowy tamtego stanu. Bo przecież pojmował w pełni doniosłość postępu. Ale nie umiał, czy też nie chciał pomóc rodzinnej wsi, więc go ta bierność kompromituje na całej linii, wszak wygląda na to, że ów dziedzic z nauczycielem byli i zdolniejsi i lepsi od Kapuścińskiego, który jako pracownik społeczny i pisarz z ludu nie umiał podejść do ciemnego społeczeństwa lub też nie zadbał o swoją wieś. Bo że ta kwitująca wieś — to nie Lipniki, sam Kapuściński zdradził to publicznie w wierszu „Do wioski rodzinnej” jeszcze w r. 1938:

„Wiosko moja nie daj Panie, Ale będziesz zawsze na swym łanie, Bo nie Będziesz służył na swym łanie, Bo nie słuchasz kto cię wie dzie.”

Tak to żalił się Kapuściński na opornych wobec postępu sąsiadów. A obecnie prawi publicznie morały, że ani reżim zaborczy, ani sanacyjny nie mógł hamować rozwoju... postępu... kultury...

Aż młodo się robi, gdy czyta się takie morały. Co właściwie skłoniło Kapuścińskiego do tak wstecznej propagandy? Czy konserwatywne pojęcie? Czy niechęć do obecnego ustroju? Nie twierdząc — tylko, pytam.

Śmieszna bajeczkę wysnuł z „Tysiąca i jednej nocy” może Kapuściński opowiadać starym babom przy kąpieli, koło kominka. Efekt byłby dobry i bezbożna geby rozdzieliły by się z ogromnego zdziwienia. Uznałby ów rozwój „nieznanej wsi” za cud Boski, zaś dziedzica za opatrnośćowego, z nieba zesłanego człowieka.

Ja też dopatruję się w tym tylko cudu. Tylko czy euda mogą społeczeństwu służyć za wzór do naśladowania?

O „nieznanej, wyidealizowanej wsi” Kapuścińskiego chciało by się zaśpiewać śmieszna piosenkę:

„...Same dzwony tam dzwoniły, gdy dziać ciągnął z całej siły...”

Fakt, że ta „doskonała wieś” to nie rodzinne Lipniki Kapuścińskiego — o tym dowiedzia- iem się z ust dwu repatriantów w Halembie: Żółkiewiczowej i Olechowej, które tu mieszkają.

produkcji, ażeby uchronić miasta, od klęski głodowej. Nasuwa się teraz pytanie, czy wieś do tego zadania jest już naleyżnie przygotowana, czy nie stuleje obawa, że przy rozbudowie przemysłu na połowie drogi nie będziemy musieli stanąć, bo nam głód będzie zagrażał. Oto są pytania, na które trudno jest odpowiedzieć, w każdym razie możemy z całą pewnością stwierdzić, że wieś jeszcze nie zdaje sobie sprawy z nowych zadań.

„PRZEDSIĘBIORCA” PRODUKUJĄCY W PLANIE NARODOWYM

W historii naszego rolnictwa aparat agronomii społecznej przechodził różne fazy działania. Jeszcze przed poprzednią wojną światową rząd austriacki subwencjonował budowę gnojowni, po pierwszej wojnie światowej w ramach kółek rolniczych rozwinięta się akcja referatowa, której działanie było znikome, około roku 1927 powstaje przysposobienie rolnicze, które dzisiaj przechodzi swój okres ewolucji, rozkwitu, około roku 1932 rozwija się akcja organizacji gospodarstw. Akcja ta zmierzała do wytworzenia elity gospodarzy na wsi i początkowo nawet odnosiła efekty. Później jednak napotyka na trudności, wynikające z konieczności subwencjonowania tych gospodarstw, co robi „złą krew” we wsi i nie odnosi już wpływu promieniowania tych gospodarstw. Poza tym sama koncepcja reorganizacji gospodarstwa oparta na kalkulacji instruktora, rzucana na papier i połączona do wiadomości gospodarza bynajmniej nie wzbudza w chłopie zaufania do systemu nyszenia, który jest mu z gruntu obcy, bowiem najtrudniejsza jest abstrakcyjna kalkulacja, co odnosi skutek w następującym określeniu: — „Toć przekonać, przekonał, ale racji to dach nimo”.

Sytuacja w chwili obecnej jest taka, że sieć instruktorska Związku Samopomocy Chłopskiej, na skutek braku środków kurczy się coraz bardziej i to zwłaszcza od dołu, tak że sztab centralny i sztab wojewódzkie, coraz bardziej tracą kontakt z terenem, w momencie kiedy konieczność chwili wymaga jak najintensywniejszego działania.

Nowo powstałe organizacje branżowe według wszelkiego prawdopodobieństwa, przy braku odpowiednio licznego personelu instruktorskiego, również przypuszczalnie nie spełnią swego zadania.

Mógłby ktoś odpowiedzieć na to, że przecież w Czechosłowacji, czy w Holandii, czy w Danii instruktorzy są nieliczni, ale poszukiwani przez rolników, nie tak jak u nas gdzie sami szukają rolników. Otóż kraje te są w zupełnie innej sytuacji, rolnik tam chce z własnej inicjatywy wyprodukować jak najwięcej, a szuka porady instruktora po to, ażeby obniżyć mu koszt produkcji. My natomiast musimy dążyć do tego ażeby rolnik zrozumiał, że w jego własnym interesie leży podniesienie produkcji. Dlatego u nas instruktor, który przedstawia potrzeby miast automatycznie traktowany jest na wsi jako przybysz z innej grupy społecznej, i musi rozmawiać z chłopami jak z drobnymi kapitalistami, musi i straci i musi się czynnie wkupić, albo przez możliwość wystarczenia się o jakąś premję lub przez ułatwienie nabycia gospodarzowi jakiegos cennego ziarna.

Dla montażu pracy instruktorów rolnych, byłoby najpierw wskazane opracowanie planu rejonizacji produkcji opartego o dokładną inwentaryzację terenu, któraby obejmowała następujące pozycje:

1. powierzchnie ogólne i gruntów ornych oraz własności bonitacyjne gleb,
2. powierzchnie uprawne poszczególnych roślin,
3. plony poszczególnych roślin,
4. ilości inwentarza żywego,
5. ilości inwentarza martwego,
6. ilości robotników na roli,
7. metody przechowywania obornika,
8. wnioski praktyczne dotyczące proponowanych zmian organizacyjnych.

Na podstawie tego rodzaju opracowania stanu faktycznego należy przystąpić do opracowania planu produkcji, przy uwzględnieniu tych wszystkich elementów.

Wprowadzenie tego planu w życie można osiągnąć systemem kombinowania, polegającym na nastawieniu koncentrycznie w kierunku wykonania tego planu wszystkich elementów kontaktu państwa z gospodarstwem rolnym. Osiągnąć to można było jedynie przez skoncentrowanie w ramach Ministerstwa Rolnictwa sektora produkcji, przetwórstwa i konsumpcji. W ten sposób wytworzyłby się zniknięta całość w której przez umiejętne operowanie można osiągnąć bardzo pozytywne wyniki. Plan ten trzeba opracować ściśle z planem ściągania podatków.

1. plan podatków, 2. plan ściągania opodatkowania w formie naturalnej, 3. nastawienie prac instruktorów, 4. nastawienie prac w ramach związków branżowych, 5. przy uwzględnieniu zgodnego działania całego aparatu propagandy, jak prasy, radia oraz referatów instruktorów, 6. przy wprowadzeniu odpowiedniego systemu premji, 7. przy nastawieniu odpowiedniej organizacji przemysłu przetwórczego, 8. przy odpowiednim nastawieniu pracy w organizacjach społecznych wsi. Tego rodzaju system musi dać pozytywne wyniki.

Związanie świadczeń z organizacją instruktorską o tyle, żeby mieściła się ona w granicach jednego ministerstwa jest dlatego tak cenne, że wówczas będzie można bez wielkiej

(Dalszy ciąg na str. 8.ej)

FAKTY I ZDANIA

Ruch spółdzielczy a państwo

Z dyskusji o spółdzielczości toczącej się na łamach wielu pism i w klubach organizacyjnych przypominamy fragment przemówienia Stanisława Cieślaka na Radzie Główniej Związku Rewizyjnego Spółdzielni R. P. wygłoszonego w dniu 4 lipca 1947 r.

Kilka mówców poruszyło w dzisiejszej dyskusji sprawę stosunku spółdzielczości do państwa. Znalazły się nawet akcenty sugerujące słuchaczom, że państwo niepotrzebnie wkracza na teren wymiany, że sprawa obrotu towarowego w Polsce winna być wyłączną domeną spółdzielczości, która taniej i sprawniej obsłuży konsumenta miejskiego i producenta wiejskiego.

Myszę, że trzeba tę sprawę rozważyć nieco gruntowniej. Celem działalności Państwa Ludowego jest podniesienie dobrobytu, oświaty i kultury mas pracujących. Ku temu zmierzają wszystkie reformy społeczne, wszystkie posunięcia Rządu Ludowego, w tym celu wprowadza się nowy ustroj społeczno-polityczny i system gospodarki planowej.

Ten główny i podstawowy cel państwa Ludowego realizujemy w walce z elementami kapitalistycznymi w naszej gospodarce, wzmacniamy niewątpliwym naciskiem zorganizowanego międzynarodowego kapitału. Nie wierzymy w automatyzm procesów gospodarczych. Aby owoce dotychczasowych podstawowych reform społecznych, reformy rolnej i nacjonalizacji przemysłu doszły do chłopów i robotników, nie wystarczy uścisnąć za żaloznymi rękami i czekać. Potrzeba stałej kontroli władzy ludowej, potrzeba zastrzeżonej czujności mas ludowych, aby nie dopuścić do odrodzenia się stosunków kapitalistycznych, w ich najbardziej zwrotności — spekulacji artykułami pierwszej potrzeby. W roku bieżącym przy wartości produkcji sektora upaństwowionego ok. 325 miliardów złotych, siła nabywcza warstw pośrednich wyraża się olbrzymią cyfrą przeszło 1.500 miliardów złotych. Co to znaczy? To znaczy, że wartości pośrednie są dostatecznie silne, aby dyktować państwu kierunek polityki gospodarczej i o ile nie znajdziemy odpowiednich dla ich niezdrowych apetytów hamulców, to polityka gospodarcza państwa mogła by się wysunąć z rąk mas ludowych.

W tej chwili toczy się w Polsce wielka bitwa o handel, a właściwie bitwa o dobrobyt mas pracujących, naruszony przez spekulację. W bitwie tej spółdzielczość bierze udział wybitny. Czy sama jednak jak to sugerują niektórzy spółdzielcy bitwę tę wygra? Zamiast odpowiedzieć pozwól Wysoka Rada, że użyję pewnego porównania.

W wojsku mamy rodzaje broni: jest piechota, marynarka, broń pancerna czy lotnictwo. Można mieć sympatię specjalną dla pewnych rodzajów broni, można np. być przywiązany do piechoty czy broni pancernej a mniej lubić lotnictwo. Ale marny by to był wódz, któryby kazał piechocie, bez artylerii broni pancernej i lotnictwa zdobywać umocnione pozycje nieprzyjaciela, tylko dlatego, że wyżej ceni piechotę od innych rodzajów broni. Narazi taki wódz oddziały na niepotrzebne straty i niezawsze cel by swój osiągnął.

W bitwie o dobrobyt mas pracujących spółdzielczość — to piechota. Nie wszystkie pozycje nieprzyjaciela może zdobyć sama piechota. Spółdzielczość oparta o dobrowolność, którą sobie bardzo wysoko cenimy, ze względu na jej walory wychowawcze, okazuje się nieraz, a dziś specjalnie bezradna wobec groźnych pozycji spekulacji. I trzeba się wtedy uciec do najsilniejszego oręża mas ludowych, do organizacji państwowej opartej na przymusie, aby złamać siły spekulacji i otworzyć teren dla penetracji piechoty spółdzielczej. Ten przykład starczy za odpowiedź. My ludowcy wierzyliśmy zawsze i wierzymy w wielką rolę spółdzielczości w nowej uspołecznionej gospodarce. Budowaliśmy spółdzielczość wiejską przed wojną, w czasie okupacji i budujemy dziś. Dalejmy ruchowi spółdzielczemu nie tylko najwybitniejszych przywódców jak Thugutt i inni, ale co ważniejsze wielotysięczne zastępy szarych pracowników spółdzielczych. I dlatego mamy odwagę po-

wiedzieć, że masy ludowe przyjmują działalność państwa w walce ze spekulacją z wdzięcznością, a nie z obrzydzeniem.

Trzeba wiedzieć, że ingerencja państwa ludowego toruje drogę spółdzielczości, a nie hamuje jej rozwoju. Wielu spółdzielcom wydawało się, że reforma rolna uderzy w spółdzielczość rolniczą, wielu spółdzielców jeszcze dziś sądzi, że upaństwowienie przemysłu kładzie kres penetracji spółdzielczości na teren przemysłu. Fakty te świadczą o czymś zupełnie innym. Na bazie reformy rolnej bujnie rozkwitła spółdzielczość Samopomocy Chłopskiej, cały prawie przemysł żywnościowy a zwłaszcza gorzelnictwo i młynarstwo znalazło się w ruchu spółdzielczym. Dodrożeństwa reformy rolnej dla spółdzielczości widzi każdy, a najbardziej ten, kto próbował przed wojną budować, z jakimże trudem i móżolem młyn, gorzelnię czy piekarnię spółdzielczą.

Podobnie nacjonalizacja przemysłu otworzyła wspaniałe pole dla rozwoju spółdzielczości pracy i zamkniętych spółdzielni fabrycznych.

Prezes Żebrowski ma rację, gdy mówi że aparat państwowy na odcinku wymiany nie raz pracuje drożej niż aparat spółdzielczy. Ale to nie jest decydujący argument. Wiadomo, że piechota jest tańsza od broni pancernej czy lotnictwa, ale rozsądny wódz nie będzie się wahał użyć najbardziej kosztownej broni, gdy chodzi o osiągnięcia wielkiego celu.

I gdy toczy się dyskusja na temat stosunku spółdzielczości do handlu państwowego, my ludowcy odpowiadamy: miły jest nam Związek Gospodarczy Spółdzielni R.P. „Społem”, miły jest cały ruch spółdzielczy, ale najmilszy interes mas ludowych. I popierać będziemy zawsze te wysiłki, które najskuteczniej bronią interesów mas ludowych, nie odróżniając czy są pod państwową czy spółdzielczą firmą. Jestem głęboko przekonany, że jeżeli spółdzielczość odpowiednio się przeorganizuje i powiąże się bliżej z masami ludowymi, z konkretnymi sprawami gospodarczymi chłopów czy robotników — nie będzie się czuła pokrzywdzona i spychana przez państwowy aparat gospodarczy, lecz będzie z nim ściśle i owocnie współpracować.

Stanisław Cieślak

Oko w tyle głowy

„Gdyby Bóg chciał, abyśmy się w tył cofali, to by nam choć jedno takie oko w tyle głowy umieścił” — pisał Jakób Bojko.

Jeśli ton (bon-ton) wzajemnej krytyki jest tak ważny, jak sądzi Leon Pokora, to nie przyjaźń położona między „Wsią” a „Miesięcznikiem Ludowym” da się wyczytać raczej z jego repliki na naszą recenzję o „Miesięczniku”, niż z samej recenzji.

Na czym polega ta nieprzyjaźń i skąd wy-
pływa?

1) Sprawa reprezentacji pisma. Redaktor „Wsi Tworzącej” Leon Pokora uważa tak samo jak i zespół „Wsi”, że każde pismo musi coś reprezentować. Pytanie — co? Powiada on z przekąsem, że „Więś” nie reprezentuje ani Oddziału Wiejskiego ZZLP, ani ZSCh, że reprezentatywność jej jest zbyteczna, bo sztuczna. „Więś Tworząca” natomiast reprezentuje samą wieś, jej „rezerwuary kulturowe” stojące poza istnieniem, a „przecież istniejące w życiu”.

Pismo społeczno-literackie nie może reprezentować gospodarczej organizacji rolników — ZSCh, zaś Oddział Wiejski ZZLP jest administracyjną organizacją pisarzy bynajmniej nie jednolitą ideologicznie. Pismo, które by go w całości reprezentowało, musiałoby być magazynem, nie żywą instytucją życia umysłowego grupy. Grupy znowu nie w sensie składu osobowego, dla którego pismo jest prywatną trybuną wypowiedzi publicznych, ale grupy ideologicznej, wypracowującej pewną koncepcję kultury. Tłum piszących nie jest dostateczną instancją reprezentatywności dla pisma.

Te istniejące maceczniki kulturowe, które „Więś Tworząca” ma ambicję reprezentować nie są tym gettem chłopskim, o które Pokora się obraża. To nie oni, ci piszący, tworzą getto chłopskie, ci których ciągle jeszcze otacza morze analfabetyzmu, ci sami jeszcze, co w „Młodym Pokoleniu Chłopów” składali grozaki na książkę, ci do których nie dociera strumień aktualnego ogólnego życia literackiego, ci pozostający ciągle poza szkołą, poza gimnazjum, poza uniwersytetem i normalną nauką.

Natomiast getto chłopskie tworzący wy. redaktorzy „Wsi Tworzącej”, którzy uważają dziś, że reprezentują samą wieś, że wasza reprezentatywność jest naturalna, a nasza sztuczna, bo za wami stoją prawdziwe polskie chaty pod strzechą, prawdziwi chłopcy, prawdziwa wieś, za wami zaś grupa uzurpatorów chłopskich, którzy się dorwali do uniwersytetu i do kultury mieszczańskiej.

Koncepcja „Wsi Tworzącej” na tym tle jest to pomysł organizowania anomalii społecznych. Kulturowania manii. Bractwo twórców wiejskich artystów z bożej łaski jest tak niechlebna dla naszej kultury organizacja jaką byłoby zrzeszenie żarliwych analfabetów. Jeśli sieć szkół powszechnych i średnich nie jest u nas wystarczająca, to organizacja życia artystycznego nie utrudnia młodym pisarzom i artystom drogi do uznania społecznego, jeśli tylko mają coś do wyrażenia.

2) Remanenty kulturalne.

Drugim słusznym twierdzeniem Pokory, które daje się wyłuskać z niedość jasnych dla nas językowo wywodów — jest, że pismo musi się oprzeć na jakimś remanencie kultural-

nym, musi oprzeć się na jakiejś tradycji ugruntowanej w treści i formie.

Tradycja kulturowa „Miesięcznika Ludowego” wskazana jest tu obok i jasno widoczna już z paru numerów pisma. Krajoznawstwo, etnografia, sztuka — to elementy tego samego regionalizmu, o którym pisał Jazdzynski w związku z Dniami Świętokrzyskimi. Regionalizm ten był nie tylko polskim ruchem inteligentkim, przewiał on przez całą Europę w epoce przełamywania się kapitalizmu. Tak ideał regionalizmu sformułował Czech Jaroslav Stepanek:

„Państwo — Republika demokratyczna organizuje oświatę ludową, a filozof, socjolog, uczony, artysta i ekonomista opuszczają swoje pracownie i biurka i idą między lud”.

Takie same ideały głosiły grupy inteligencji polskiej pozbawione realnych możliwości wpływania na życie gospodarce i politycznej. Regionalizm ten bez wątpienia zwracał się przeciwko cywilizacji z jej „wszechwielującym obliczem”, z „gorączkowym ustrojem, z nieustannym zagrożeniem pozostałym naszym zabytkom przyrody i kultury”.

Ale gdy Duńczyk Olaf Andersen pozwalał sobie bawić się regionalizmem, Dania — kraj rolniczy liczyła tylko 22 pr. rolników. Podobnie Francja przeżyła swój regionalizm jako filozofię kultury, przeciwdziałanie centralizacji życia kulturalnego w ośrodkach miejskich.

Polski regionalizm wiązał się ściśle z życiem inteligencji poszlacheckiej. — W statycznej „kulturze ludowej” widziała ona kulturę rodową, plemienną odnajdywała w niej według swojej organicznej kultury młodość narodu.

Stosunek „Wsi” do tradycji jest inny. Sądzimy że aktualna współczesność wsi polskiej ma źródło nie w statycznej kulturze ludowej, którą badają etnografowie ale w historii politycznej gospodarce i kulturalnej chłopów i ruchu ludowego. Nie jest ona tylko do odczytania i przyjęcia. Nie można jej przyjąć bez aparatu rewizjonizmu historycznego, jak to w naszej dyskusji podkreślał prof. Sreniowski. Postawa rewizjonizmu zaś, jak mówił profesor, jest wyrazem określonej ideologii.

Jest także wyrazem określonej ideologii pisarzy i publicystów trzymające się kultury ludowej, bo temu służą: „krajoznawstwo, etnografia, sztuka” w ujęciu „Miesięcznika Ludowego”.

Ale czy jest to ideologia postępu? Czy jest to oko z przodu czy z tyłu głowy?

Anna Kamińska

Dlaczego — chłopski Marks?

W artykule pt. „Chłopi czekają na swojego Marksa” nadesłanym do naszej redakcji, zastanawia się Józef Zawadzki nad potrzebą wypracowania odrębnej ideologii chłopskiej.

Jest S.L. i P.S.L. w różnych odcieniach — pisze Józef Zawadzki — sa „Wici” i samo-
pomoc, jest T.U.L. R.P. — ale ruchu ludowego nie ma!... Ideologia ruchu ludowego jest dotychczas żadna, a sam ruch ludowy jest niejako karykaturą swoją, krak mu bowiem kregostupa, który może nadawać postawę i wyraz, a co ze swej strony daje siłę i wagę w społeczeństwie. Prawda, na pustym dotychczas firmamencie ruchu ludowego pokazała się gwiazda i to zapożyczona — agraryzm. Poczuła w gruncie rzeczy, ale staroświecka, naiwna teoretycznie słaba...

O ruchu chłopskim zadecyduje ideał społeczny, wypracowany na zimno, na podstawie głębokiej analizy naukowej, stosunków produkcji klasy chłopskiej w społeczeństwie z nieubłaganą, bezkompromisową konsekwencją do ostatek. Wspaniałym wzorem tak właśnie opracowanego ideału społecznego dla proletariatu fabrycznego jest Manifest Komunistyczny Marksa i Engelsa. W swojej istocie jest to głęboka analiza warunków społecznych produkcji kapitalistycznej...

Pewnikiem jest, przynajmniej dla podpisanego, że fundamentem wszelkiego ruchu ludowego, żywego i płodnego, może być teoretyczno-naukowe opracowanie miejsca, roli i znaczenia klasy chłopskiej we współczesnym społeczeństwie.

P. Józefowi Zawadzkiemu zdaje się widoczne, że wykoncypowanie „na zimno” ideologii chłopskiej na wzór robotniczej — dopełni miary postępu jaki dokonał się po wojnie przez reformę rolną i uposażenie środków produkcji w Polsce Ludowej. Jest to oczywiście złudzenie, cofające sprawę chłopską i postępy w ogóle — o kilkadziesiąt lat wstecz.

Przypomnijmy sobie. W założeniach mieszczańskiej Rewolucji Francuskiej głoszone oficjalnie prawa wolności dla każdego stanu: dla szlachty, mieszczaństwa, robotników i chłopów. Mówiło się także o potrzebie stworzenia ideologii poszczególnych warstw społecznych i zapewnienia im reprezentacji w liberalnym parlamencie.

Wiadomo przecież jednak, że chodziło tu o co innego. Zwycięskie mieszczaństwo przechodzące w klasę kapitalistycznych producentów przemysłowych, krępowane merkantylistyczną polityką gospodarczą wołało o swobodę dla swej rosnącej produkcji. Klasowemu ustrojowi kapitalizmu mógł przeciwstawić się wyzyskiwany proletariatu fabryczny, zasłany zbytecznym na wsi proletariatem chłopskim. W takiej sytuacji rozbiła jedność chłopów i robotników na dwa zróżnicowane ideologicznie obozy — wzmacniało kapitalistyczny układ klasowy.

Jeżeli więc przedwojenną a nawet i dzisiejszą „ideologię” ludową mówili i mówią o agraryzmie jako o koncepcji ideologicznej chłopów to podtrzymywali oni i potrzynują fałszywe

mnienie, że istnieją dwie odrębne, zróżnicowane w interesach — klasy: chłopską i robotniczą.

P. Józef Zawadzki nie zgadza się już na agraryzm, „zapożyczoną” gwiazdkę z nieba. Zgadza się jednak na podsławowe założenie społecznego systemu kapitalizmu, ponieważ mówi o potrzebie ideologicznego zaznaczenia różnic między chłopem a robotnikiem. „Zapożyczona” więc klasowy układ stosunków społecznych z okresu liberalizmu i chce go ofiarować Polsce Ludowej. Co gorsze — sądzi, że w ten sposób dopełnią się braki w postępie społecznym.

A przecież jest chyba jasne, że prawdziwy postęp w rozwoju struktury społecznej, polega na usunięciu resztek ustroju klasowego, I to „pewnikiem jest dla podpisanego”.

Wiesław Jazdzynski

Minister Minc — wójt

„Młoda Myśl Ludowa” w ostatnich numerach 8—9 i 10 zaleca nowy system gospodarki planowej. Opracowują go Mieczysław Józwiak i Zdzisław Witebski. Sądzą oni, że jedyny problem gospodarczy stojący przed nami to „podciągnięcie prowincji t. j. osad czy miasteczek do poziomu życia naszych ośrodków gospodarczych i kulturalnych”. Oto co się nazywa nie myśleć ustrojowo. Życie prowincji nie zależy w ten sposób od ogólnej organizacji gospodarki i kultury, od systemu ustrojowego. Góra już jest, Stoż, w miastach ruch, handel, przemysł, uniwersytety. W dole cieknie rzeczulka z krzywą wierzba. Jakież konsekwencje praktyczne? Konieczność organizowania życia od dołu. Któż to będzie robił?

Opowiada Józwiak: „Przyszedł inny nauczyciel. Ten gadać nie umiał, ale znał się dobrze na pszczelarstwie i sadownictwie. Miał pasiekę prowadzoną racjonalnie, założył szkółki, drzew owocowych, i ozdobnych na kawałku gruntu koło szkoły. Stąd w sposób zadziwiająco szybki zadzwienie zaczęło się rozrastać na wieś. Tego co nie zrobiło kilku nastoletnie zachęcanie, zrobiła paroletnia praca, która nie była jakąś ofiarą, lecz najwzrostniejszą pracą zarobkową i widoczną korzyścią ogółu. Ideałem społecznika jest tu dobry gospodarz, pracujący w obrębie swego podwórka sąsiad. A całość sama się złożyła”. Nie, nie sama. Pomoże jej technik społeczny, wójt, który też przede wszystkim, jak wyraźnie pisze Witebski, ma być dobrym gospodarzem, nie społecznikiem. Ideał nowoczesnego wójta, to wykształcony prawnik, wzór moralny (silny charakter, porządny człowiek) i dobry (choć bez specjalizacji) rolnik. On bowiem będzie reprezentował wyłącznie C.U.P. na terenie swej gminy. Bo „dla wsi jako warsztatu produkcyjnego, nie da się stworzyć żywego planu w czterech ścianach gabinetów na podstawie danych demograficznych, statystyk, wykresów i t.p. Plan zagospodarowania obszarów rolniczych winien być tworzony w terenie, po wsiach, gminach. Zamiast więc rozbudowywać regionalne urzędy planowania przestrzennego (po co?) przez powiększanie kadr personelu należałoby raczej przenieść na to fundusze przeznaczony na utrzymanie wprost z obiektów planowania związanych wójtów, którzy nie tylko potrafią dać właściwy plan, ale odpowiednio go zrealizują.” (Witebski).

W ten sposób pisarze „Młodej Myśli Ludowej” wyobrażają sobie państwo jako federację 3.000 gmin. Planowanie w ramach gmin ma się odbywać poza ogólną strukturą gospodarczą kraju. Co gminy zaplanują, to dopiero wyższe instancje będą próbowały skoordynować i tak wreszcie stworzy się plan państwowy. Akurat odwrotny kierunek założył sobie nasz Plan Trzyletni.

„Rola najlepszych, najbardziej przygotowanych do rządzenia jest właśnie na samych dole, tam, gdzie się życie dzieje” — pisze Józwiak.

Wobec tego współtwórca Trzyletniego Planu minister Minc powinien zostać wójtem.

Wtedy będzie się dobrze działo w Polsce, a już na pewno w tej gminie, w której on będzie wójtował.

Anna Kamińska

Książki nadesłane

POWSZECHNY ZAKŁAD UBEZPIECZEN WZAJEMNYCH:

Inż. C. Centkiewicz — Instalacje piorunochronne w budownictwie wiejskim, str. 22; Inż. Jerzy Sawaszyński i inż. Władysław Kolder — Stawy wiejskie, budowa i użytkowanie, str. 108.

WYDAWNICTWO LUDOWEGO INSTYTUTU OŚWIATY I KULTURY:

Adam Marzec — Wierszowada z prostego kowadła, do druku przysposobił i wstępem poprzedził dr. Józef Spytkowski, str. 120.

WYDAWNICTWO RADY NARODOWEJ POLAKÓW WE FRANCJI, PARYŻ 1947

Bronisław Kamiński — Paweł Wójcik — poemat, str. 39.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król. Redaguje Komitet. Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca. Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopomocy Chłopskiej.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” Łódź, ul. Zwirki 2. D-015431

BRAKI I POZOSTAŁOŚCI

(Dokończenie ze str. 7.ej)

trudności obliczać zyski i straty. Odpowiednio poprowadzona praca personelu Instruktorów, bez wielkiej trudności może w ciągu trzech lat osiągnąć zwykłą produkcję o 10 procent, a koszta jej będą obierać się w granicach części tego procentu. Poza tym jest rzecz bardzo ważna, ażeby część świadczeń rzeczowych przeznaczyć na system premijowy. Nie należy bowiem zapomnieć, że chłop wychodzi z tradycji drobnego kapitalisty. Pamiętać również należy o tem, że jest niewielka różnica w ściąganiu podatku między 950 zł. a 1000 zł., lecz te 50 zł. pomnożone przez tysiące płatników a zużyte na premie mogą oddać duże usługi.

Przy układaniu tego planu trzeba pamiętać, że wyższe formy intensywności gospodarki rolnej są z punktu widzenia ogólnospołecznego bardziej pożądane, masło np. jest formą bardziej pożądaną aniżeli zboże. Dlatego trzeba tak prowadzić politykę cen, ażeby nie doprowadzić do podobnych sytuacji, jakie w tej chwili powstały ze Korczyzna wycina sady, a w Lubelszczyźnie krowy kosztują po 8 tysięcy zł.

Marian Niklewski